Numer 51. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 22 Grudnia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Odtąd ani słowa.

Brzuchomówca nieznany w mieście wszedł z psiakiem do restauracji i zaczął porządnie zajadać. Naraz obecni słyszą słowa, jakoby pochodzące od psiaka: „Czy ja dzisiaj nic nie dostanę?“ „Masz tu co!“ odezwał się właściciel psa i rzucił mu kawał mięsa. „Ślicznie dziękuję!“ — zawołał pies. I tak dalej szła rozmowa między panem a psiakiem. Jeden z obecnych chce tak cudownego psa kupić, a wtem: „Nie sprzedawaj mnie!“ — woła pies żałośnie. Wskutek tego cena psa rośnie. Nareszcie zgodzono się na bajeczną sumę. Nowy właściciel zapłacił, a biorąc psiaka na powrózek, odchodzi, ale też słyszy z przerażeniem, jak pies mówi: „Odtąd już ani słowa nie wymówię!“ Oczywiście psiak odtąd już ani słowa nie wyrzekł, a brzuchomówca świetny zrobił interes.



Prawda.

— Dlaczego nos pijaka jest tak czerwony?

— Bo się rumieni ze wstydu, widząc postępowanie swego właściciela...



Dobry przykład.

— Moja żono, niechże i ja chociaż raz mam swoją wolę, zawsze we wszystkiem ciebie słuchać nie mogę!...

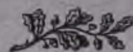
— Ależ mężu, nie idzie mi przecież wcale o to, ale widzisz, powinieneś dać dobry przykład dzieciom, żeby mamy słuchały...

W mazurze.

— Czy pani lubi tańczyć mazura?

— Bardzo, a pan?

— O!... pasjami, bo jak się człowiek wytrzęsie w mazurze, to zawsze lepszy apetyt ma do kolacji.



Pieśń dziadowska.

A insza będzie jako kamienica
Bo jak ma wapnem obmazane lica
Lepiąc je codzień mularskim ordynkiem.
Jakoby tynkiem...
Onać od wstania po samo południe,
Wybiera maście woniejące cudnie,
I z gęby gładkiej, jakoby za karę. Czyni poczwarę.
I tak też idąc z naturą na udry,
Sypie na gębę rozmaite pudry,
A iż rzecz sucha z oblicza obłazi, używa mazi...
I mazią oną jakby smołom osie,
Kwaczem po gębie maści i po nosie,
Aż to oblicze z naturą na bakier,
Lśni się jak lakier.
Słuchajcie Panie! jedna jejmość taka,
Chowała sobie maleńkiego psiaka,
Ten ją po twarzy gdy w pieszczotach liźnie
Zdycha w truciźnie.
I mąż niejeden moc affektu czując,
Żywot utraci małżonkę całując
I kona wolno znienacka otruty. Jak od cykuty...
A insza zasie chuda jako tyka,
Konopnych sobie paździerzy nawtyka,
Aż zachwycony od takiego kształtu,
Świat krzyczy: gwałtu!
A więc porzućcie miłościwe Panie,
Niemiłe Bogu gęby smarowanie,
Bo z tem, nie mówiąc, że kosztuje setnie
Srodze wam szpetnie.

Numer 51. Rok XII. Kraków dnia 22 Grudnia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Pycha.



W ciągu istnienia naszego narodu nigdy nie brakło serc odważnych, ofiarnych, lecz często najpiękniejsze, najwznioślejsze cele ginęły dla dogodzenia pysze, prywacie pojedynczych osób. Wielki cesarz francuski. Napoleon Bonaparte, wyrażał się o Polakach, że potrafią bohatersko umierać, lecz żyć nie potrafią. Zdanie jego mimowoli przychodzi na myśl, gdy się widzi, że po smutnych doświadczeniach w czasie niewoli, po odzyskaniu niepodległości, tak pychy, jak również innych wad nam nie brakuje.

Następstwem pychy, to ta mnogość różnych stronnictw, ta niezwykła u nas trudność zgodnej współpracy, ten straszny wiew nienawiści wzajemnej, której oznak nie brakuje we wszystkich partyjnych czasopismach. Państwo jest wielkiem gospodarstwem, wielką jakoby rodziną. Podobne następstwa jak w życiu państwowem wywołuje pycha i w życiu rodzinnem, w życiu pojedynczych ludzi.

Z człowiekiem pysznym współżycie jest trudne, prawie niemożliwe. Pysznego drażni bezustannie to, że otoczenie nie poznało się na jego rzekomo wielkich zaletach, że nie okazuje mu tej czci, na jaką on w swojem mniemaniu zasługuje. Cóż więc dziwnego, że czuje się coraz nieszczęśliwszym, źle i niesprawiedliwie potraktowanym przez ludzi, wypadki i Opatrzność Bożą? Człowiek taki staje się zczasem coraz zgryźliwszym, ludziom, którym można jeszcze czegoś zazdrościć, zazdrości, wobec słabszych zaś od siebie okazuje napuszoną pogardę i lekceważenie. Z pysznym może żyć zadowolony tylko podstępny pochlebca, który mu dalej szkodzi. Człowiek pyszny zatruwa więc życie tak innym, jak i sobie samemu.

Gdy przyjrzymy się życiu społecznemu, musi nas zadziwić wielka ilość tytułów różnych: prezesów, dyrektorów i t. p. Nie dotyczy to oczywiście ludzi nauki, prawdziwych zasług obywatelskich. Zjawisko samo w sobie pozornie obojętne, lecz znamionuje ono, z jednej strony chęć taniego wyróżniania się, z drugiej nieszlachetnego pochlebstwa. Pochlebstwo, samo wyrażenie pychy brzydkie i obraźliwe, zmieniło poczucie własnej godności, ambicję, pomieszało pojęcia.

Następstwem pychy, to te tak liczne niestety kłótnie w polskich rodzinach, brak wyrozumiałości, niezgoda, pijaństwo, nienawiść, zbrodnie i zupełna niekiedy ruina rodziny.

A przecież Bóg nie na to użycza nam życia, może dobrego zdrowia, zdolności do pracy i innych cennych darów, byśmy Go obrażali pychą, niezadowoleniem, rozpaczą może. Cieszmy się Jego darami. Uśmiechy losu wplatajmy w szarość dni naszych, a zdobędziemy nowe siły do pracy. Wówczas nieznaną nam będzie pycha i jej wstrętne potomstwo, nikogo nie będziemy nienawidzić, nikomu zazdrościć, lecz możemy się tylko nad kimś litować i pragnąć mu dopomóc do odzyskania zadowolenia, radości życia.

Nie tarzajmy się w ziemskim pyle, w podłych uciechach, lecz i nie wyobrażajmy sobie, że jesteśmy z rodu nadludzi. Nami kierują te same pragnienia, mamy te same wady i cnoty, jak i inni, którzy może w cięższych warunkach znaleźli się w życiu, w trudniejszej walce. Zasługują więc na naszą możliwą pomoc, litość, a nie pyszne obchodzenie się z nimi, obmowę, nie na naśmiewanie się z ich upadków. Zbudźmy w sobie siły w nas drzemiące! *Surge, qui dormis!* Powstań, śpiący! Boć i dla nas przygotował Bóg najdobrotliwszy wiele pracy, wiele radości, lecz radości prawdziwej, duchowej. Chciejmy jej tylko poszukać, a znajdziemy.

Niechaj w życiu prowadzi nas nie pycha, i jej częste następczynie, zniechęcenie i rozpacz, lecz miłość Boga i ludzi, ten największy z udzielonych nam darów.

Jan Pelczar.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

W jednej chwili ogarnęły płomienie zabudowania. Krzyk niewiast i płacz dzieci rozdarł powietrze, lecz starsi zatarasowali drogę ucieczki.

— Zginiemy wszyscy, lecz żywego nie dostanie smok... — wołano.

W rozpaczy, pewni śmierci, postanowili drogo sprzedać życie.

Co chwila wypadało po kilku Starżów z palącego się domostwa i bronzowemi mieczami i siekierami rąbali najezdników, dopokąd sami nie legli pod ich żelaznemi narzędziami.

Krak i Raning stali na boku i śledzili uważnie, kiedy przypieczeni ogniem mieszkańcy wyjdą z domostwa, pomiędzy któremi spodziewał się, że znajdzie Wilję. Serce kołatało mu okropnie w piersi, że zatykało mu dech. Co chwila rwał się biedz na ratunek ukochanej, ale wstrzymywany przez Raninga czekał.

— Niebezpiecznie biedz na strzały, — mówił Raning — i lepiej zaczekać sposobności...

Dach runął, a ogień obejmował zrąb coraz to niżej. Z wnętrza dochodziły okropne jęki, a Normandowie każdą wychylającą się jednostkę kładli celnemi strzałami.

Blady, z drżeniem troski i lęku, wyrwał się Krak z uścisku Raninga, roztrącił atakujących Normandów i nie zważając na płomienie, wpadł do wnętrza palącego się domu.

Na środku obszernej świetlicy kłąb niewiast i dzieci, z obłąkaniem na twarzy, z okropnym krzykiem rozpaczy, tarzał się na klepisku, a żar ognia prażył od pułapu i sypał iskry na obnażone ciała.

— Gdzie Wilja? — zapytał Krak gorączkowo do stojącego u drzwi z łukiem gotowym do strzału młodziana.

Ten, sądząc znać po ubraniu, wziął go widocznie za swego, ponieważ odrzekł bezzwłocznie:

— W gaju, na radzie starszych!...

— Więc jej tu niema?

— Niema!...

Nie zważając, co się koło niego dzieje, wybiegł, roztrącił zdziwionych Normandów, którzy poznali go i stanęli chwilę bezczynnie, nie mogąc pojąć, czego szuka ich ulubieniec.

Wpadł w bramę i pędem pognał do świętego gaju, a za nim trzej jego pachołkowie i Raning.

W świętym gaju gwar wielki ucichł, tylko rzężenie zarzynanych starców rozlegało się echem po lesie.

Kilku pachołków Seminga uganiało pomiędzy rannymi i krótkiemi nożami kłóło serca starców, a zdala na tle ciemnego zarośla, w mlecznym półmroku mgły, majaczała opasła postać Seminga.

Krak stanął chwilę i okiem śledził leżące naokoło trupy.

Nagle u stóp Seminga, na mchu, zamajaczała mu szata niewieścia.

W tej chwili Seming machnął ręką, dając jakiś znak i skierował swe kroki w przeciwną stronę, a pachołek okrwawioną, uzbrojoną nożem prawicę, podniósł do góry.

— Wilja! pomyślał — a serce jego jakby na chwilę przerwało swą pracę i... skoczył...

Wziął omdlałą na ręce i zmierzał do świętego gaju.

Na odgłos upadku pachołka, Seming odwrócił głowę za siebie i stanął zdumiony. A widząc, że Krak unosi dziewkę, zastąpił mu drogę.

— Co czynisz Kraku? — zapytał groźnie, mierząc go swemi buremi oczami.

— Jak widzisz, unoszę dziewicę! — odrzekł spokojnie Krak.

— Nie uczynisz tego! — i wyciągnął miecz.

— Uczynię!...

Popatrzał przeciągle na Seminga tak groźnie, że Seming z natury tchórzliwy, zadrżał i miecz opuścił.

— Żywa noga nie wyjdzie stąd! taki wydałem rozkaz! — zaskrzeczał jakimś dziwnym głosem.

— Lecz ona ocaleje!...

Oczy błysły Semingowi ogniem, drgnął dolną szczęką, jak dziki zwierz i wściekły rzucił się na Kraka.

— Nikczemny! Giń razem z nią!...

I mieczem zadał straszliwy cios, mierząc w głowę Kraka.

Krak z Wilją na rękach śledził oczy Seminga i nim ten miecz spuścił, skoczył w bok, Wilję ułożył na trawie, a sam przypadł do Seminga, który trafiwszy w próżnię, runął na ziemię i wyrwał mu miecz z dłoni.

Zaklął straszliwie Seming i krzyknął co sił:

— Do mnie ludzie!...

W jednej chwili wojownicy otoczyli go kołem.

— Ująć go! — tu wskazał na Kraka.

Szmer przebiegł szeregi zebranych.

— Ująć go! — ryknął już wściekły Seming.

Głosy umilkły, lecz ani jedna ręka nie sięgła na spokojnie stojącego Kraka.

— Co to znaczy, bunt?!. Rozkazuję ująć go! Czy zrozumieliście?

— Zrozumieli! — odezwały się głosy.

— Więc czemu nie czynicie, com kazał?...

— Krak odejdzie stąd wolny! — rzekł jeden śmielszy. Przysięgliśmy jego ojcu, że go strzec będziemy!...

— Zdrada! — wrzasnął przerażony Seming i blady, trzęsąc się w strachu, począł się cofać.

Krak nie zważał na Seminga.

Omdlałą Wilję wziął na ręce i spokojnie wszedł w zarośla świętego gaju.

Wiatr zerwał się od wschodu i dął wilgocią i swądem palącego się Tynu.

Mgła gnana wichrem odsłaniała widnokrąg i mlecznemi poziomemi smugami przekreślała ciemno-zielone tło boru.

Rozpaczliwy krzyk ofiar, wrzask atakującej tłuszczy, jęki i rzężenie konających, mieszały się z ponurem szumem kołysanych wichrem drzew i odziewały duszę jakąś tkanką okropnego niesmaku i grozy.

Ptactwo, ukryte w liściach świętego gaju, jakby zdumione zbrodnią, przestało nucić trele, tylko spłoszone niezwykłemi wrzaskami tuliło się w swoich kryjówkach, lub niespokojnie przelatywało z gałęzi na gałąź.

Krak z nieprzytomną Wilją na rękach spiesznym krokiem przedzierał się przez zarośla w stronę Wisły, jakby się obawiał, aby słudzy Seminga nie zmienili swych uczuć i nie odebrali mu drogiego ciężaru.

Po przebytych wrażeniach drżał jakby we febrze i rozglądał się po krzakach z trwogą.

Seming ich zmusi groźbą i pewnie się rzucą na niego! — myślał. O siebie mu się nie rozchodziło wcale. Ale ją... Wilję, musi ocalić.

— Byle łodzi dopaść! — szepnął.

Płaszczyzna wzgórza skończyła się nagle i ukazał się przed nim stromy, bystro staczający się w dół stok góry, a w dole na uwięzi kołysane wartkiemi strumieniami Wisły normandzkie łodzie.

— Aby do ludzi, a potem... potem do swoich.. z nią... —

Przycisnął do serca drogi ciężar.

Na chwilę przystanął nad stokiem góry, aby opatrzeć najlepsze miejsce pomiędzy cierniami, krzewami dzikiego bzu i leszczyny.

Po chwili postąpił naprzód, lecz nagle potknął się na czemś.

Popatrzał uważniej. W trawie, u nóg, leżał w kałuży krwi, człowiek.

Z rany, ciętej na głowie, sączyła się krew i zalewała twarz, a z ramienia i uda sterczały zaryte głęboko w ciało strzały z łuku.

Złożył Wilję na ziemi, a sam pochylił się nad rannym.

Dyszał.

Oszczep złamany, łuk ze strzałą i uwity wianek z wici dębowej leżał obok niego.

— Posłaniec z wicią z Tynu do okolicznych włości! — szepnął.

— Niestety!... zapóźno cię wysłano, że wpadłeś na tego wroga, przeciw któremu miałeś zwołać pomoc...

Miecz Seminga wbił w ziemię obok, a sam badał rannego, czy pomoc jego przyda się na co, kiedy naraz posłyszał za sobą trzask łamanych gałęzi i szmer rozchylonych zarośli.

Wyprostował się i patrzał w tę stronę.

Seming z oszczepem w dłoni, bez kołpaka, z rozkudłoną głową, wysunął swe cielsko z za krzaka leszczyny, a za nim kilku pachołków z mieczami w dłoni.

— Źle! — pomyślał.

Jedną ręką ujął miecz, a drugą zanurzył w sajdaku rannego Chrudosza, skąd wyjął pęk strzał i z łukiem, który leżał obok niego, skoczył do Wilji i czekał, co będzie dalej.

— Ująć go! — zaskrzeczał Seming, wskazując oszczepem Kraka.

— Spróbujcie! — odpowiedział spokojnie Krak

Miecz wbił w ziemię obok siebie, a sam nałożył strzałę na cięciwę łuku i zmierzył.

Strzała świsła, a Seming ze strasznem przekleństwem skoczył w bok i schował się za gruby pień drzewa.

Kilku skoczyło na pomoc rannemu, a czterech śmielszych natarło na Kraka.

Wypuścił drugą strzałę, a jeden z nich przeszyty prawie na wylot, runął na ziemię.

Ale trzech z okrzykiem rzuciło się na niego.

Wypuścił łuk z ręki, ujął za miecz i oparty plecami o drzewo, odpierał gęste razy doskakujących do niego napastników.

Po chwili pot kroplisty zrosił mu czoło i ciurkiem spływał mu po policzkach.

Miecze migały i z brzękiem cofały się odparowywane zręczną ręką Kraka, ale siły coraz bardziej go opuszczały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Weselna droga.

Tragiczna komedja z dziadowskiego żywota wyjęta głupim — na śmiech, mądrym — ku rozwadze.

(Dokończenie).

— Bój się Boga! Toś sobie nie powieczerzała jeszcze? Troje ludzi miałoby dosyć, a tyś sama zjadła...

— Powieczerzać — powieczerzałam... o jeszcze jak! Boże wom zapłać. Ale miałaby się spyrka zepsuć, niechże się lepiej żołądek zepsuje. Spyrka dobra, od Pietrkowej dostałam, mogłaby mi zapleśnieć...

— A ty mogłabyś mieć trochę rozumu! Zachorujesz z tego! I kto będzie chodził za tobą po doktorach?

Poniekąd Kasia zdaje sobie z tego sprawę, lecz nie odzywa się. Niechby jej dali spokój, a nie wtrącali się do cudzych rzeczy. Jeśli zaczęła jeść, musi skończyć. Zresztą spyrka ma tak kuszący zapach, iż niepodobna jej dłużej trzymać w węzełku. Wiadomo — od Pietkowej zawsze taka. Żałować tylko należy, że się już kończy i że we wsi tak mało jest ludzi, u których możnaby wyprosić jaki skwarek. Prawie sama Pietkowa i nikt więcej.

Leżąc za piecem na rozrzuconym snopku słomy, roztkliwia się Kasia nad dobrocią Pietkowej — zaś palcami obmacuje swe biodra kościste, swe żebra wystające, chcąc się przekonać, ile jej ciała już przybyło.

Gdzieś w nieskończonej dali gra muzyka. Wesele... wesele... sen. Życie odnowa.

Mówią ludzie, że czasem „świętej“ cierpliwości może człowiekowi zabraknąć Nie źle mówią. Tydzień nie minął, a do Pietkowej znów się Kasia przywlokła i molestuje o jaki skwarcek. Dawniej porządny dziad nie odważył się częściej we wsi pokazać, jak raz na rok. Dziś? Taka Kasia co tydzień przylezie — i jeszcze za każdym razem dajcie jej połeć słoniny. Na lekarstwo, na tę dychawicę okrutną!

Pietkową złość bierze.

— Co ty se myślisz, że ja dla ciebie świnię biła? Nie mam to dziecek, zarobników? Niewymawiający — jużem ci dała w zeszłą środę. Powinnaś jeszcze mieć. A ty tego samego dnia wszystkoś spucowała Nie mówię — jakby z wielkiego głodu... Ale „Na równicy“ dały ci wieczerzę niebylejaką. Znam Witkową: jak da — to da; nie żałuje.

Kasia niby się wstydzi, niby jest jej obojętnem, co tam ktoś gada. Nie odzywa się i nie patrzy na nikogo. Usiadła na ławie, wzrok utkwiła w podłodze.

Na polu szarzeje. Ona nie przejmuje się tem, ale siedzi dalej w skamieniałej pozie, skulona i zapatrzona w jakiś nieistniejący punkt. W nienaruszonej pozycji przetrwała do zmroku.

Ludzie wracają z pola, znosząc do izby szelest zeschłych badyli, gwar drzew i szum wiatru. W izbie robi się nieco jaśniej i weselej. Gdy wreszcie zauważono obecność Kasi, zdziwienie zaczyna być zbyt hałaśliwe.

— O, jakże dobrze zrobiłaś, żeś przyszła! — krzyczy parobek. Pójdziemy sobie na wesele do Laskowej.

— Tak, tak... pójdziemy na wesele — przytakują inni.

Ona o niczem nie wie. Dziwuje się.

— Nie słyszałaś? Na „górce“ u tego... jakże mu tam?... grane weselisko jak ulał. Wszyscy idziemy, niech tylko dadzą wieczerzę. Mogłabyś z nami iść, potańczylibyśmy.

— A nie wie który... z „Uplezia“ pójdzie kto?... albo od „Pietrusia?“

— Całe „Uplezie“ pójdzie, nawet sam Pietruś stary. Jakżeby... na takie wesele?

Kasia ma pewne uzasadnione skrupuły.

— A nie wyrzucą nas? Bo to „słazę“ ziędary czasem za drzwi wywalają.

— Czyś my to nie z Jaworznej? Już ty się o nic nie turbuj. Poradzimy sobie. A teraz mogłabyś się trochę wyrychtować.

Dziewczęta zabierają Kasię do ogródka i stroją kwiatami olbrzymiej georginji, późnych astrów, które to kwiaty z uporem strzegą swej krasy przed napaściami coraz częstszych wichrów i słoty.

Piotrowa uśmiecha się pobłażliwie. Aby jednak nie naruszyć swej powagi, powtarza, raz po raz:

— Gwaryjaty! jak wam się kce!...

Po wieczerzy hurmem wyruszają w drogę. Nie gdzieindziej, tylko na wesele. Chłopcy pośpiewują, Kasia z nimi. Tak jej wesoło, jak nigdy w życiu przedtem nie było. Ale... bo też nigdy tyle kwiatów na sobie nie miała. A jakie kwiaty! Nie łąkowe, nie te, co wszędzie rosną, ale prawdziwe ogródkowe. W takim stroju możnaby iść nawet do ślubu. Ojej! aleby się ludzie dziwowali!... Jeśli będzie kiedy co z tego jej wesela, wtedy dziewczęta od Pietkowej muszą ją tak samo ubrać. Odrobi czem, albo jak... a muszą. Ludzie nie uwierzą, że to jest ta sama Kasia, co po prośbie chodziła. Nie uwierzą: Niech się dziwują, niech cudują. Niech, niech...

Śliski liść otarł się o jej policzek. Z dalekich marzeń powróciła do siebie. Cóż to?... nigdzie nikogo?... gdzież tamci? Gdzie się zapodziali wszyscy? Czyżby ona sama wbok skręciła?

Rozgląda się po świecie. Noc widocznie zmieniła okolicę, gdyż Kasia nie może się zorjentować, gdzie się znajduje. Kępka drzew przed nią szarzeje. Usiądzie na kamieniu, poczeka. Jeśli tamci zostali, to przyjdą, a jeśli prześli — wrócą po nią. Musi zaczekać. Sama ani kroku postąpić nie może. Jest ciemno, ścieżki prawie nie widać. Wydaje się jej, jakoby nigdy tędy nie chodziła. Dziwi się: tyle świata zwędrowała, a tu nie była. I to zdarzyć się może.

Siada na kupce kamieni, czeka. Czeka godzinę, dwie... do rana. O świcie przywlokła się do wsi zmarznięta, skostniała, ale z wieńcem na głowie. Z wesela. Gospodarzy, idących w pole, omijała zdaleka. Zaś ci, przystając na miedzach. patrzeli na nią z politowaniem i kiwali głowami.

— Biedne to i głupie...

W oddali budzi się głos dzwonu kościelnego. Chłopi zdejmują czapki i prędko szepczą Zdrowaśki. W czasie modlitwy wzrok ich z niewymowną rozkoszą ślizga się po ziemi, na której świt rozpyla uśmiechy słonecznego Boga.

Jednego dnia powstał u Kuby „Z osiedla“ okrutny rajwach i harmider. Zaraz z południa przyszła Kasia, rozsiadła się na ławie i zaczęła stękać. Chora. Nawet nie udaje. Zdaleka czuć od niej gorączkę.

U Kuby lament. Chora? — to jeszcze nic. Mogłaby przeleżeć parę dni, jest miejsce. Ale w razie czegoś gorszego — strach pomyśleć. Tyle ma człek własnych kłopotów, jeszcze taki na despekt!

Za wszelką cenę chcieliby się jej pozbyć. Gdzie pójdzie — to pójdzie. Jej wola.

Kasia miarkuje, o co chodzi. Dobrze, pójdzie stąd, nawet zaraz, jeśli dostanie cały tafel jaj. Trzy jajka — ani jednego mniej.

Kubina rozmyśla, że z Kasią chyba nie jest tak źle, jeśli ma apetyt na jaja. Z czystem sumieniem puszcza ją w drogę. Wszyscy odetchnęli z pewną ulgą, gdy żebraczka znalazła się za progiem.

— Wyźryj-no, Weronka, gdzie pójdzie? — woła Kubina na dziewczynę. — Nicbym nie pedziała, że udaje chorość, aby co wycyganić od ludzi.

Oczywiście Kasi najbliżej się zdaje do Pietkowej. Z biedą jednak dowlokła się do schodów chałupy. Usiadła wyczerpana. Z okna ktoś ją dojrzał, ale nikt się nie kwapi do otwarcia drzwi. — Co? dziadom wrota otwierać? Jak świat światem!...

Pietkowej jednak wypadło wyjść pocoś na pole. Niemal przeraziła się twarzy z pod proga.

— Kasiu! co z tobą się dzieje? Nie idziesz dalej? Jaka szkoda, żeś wcześniej nie przyszła. dostałoby ci się coś z obiadu...

Kasia odrywa oczy od ogródka, pełnego astrów, nagietków, gieorginij, nasturcyj. Resztki pięknych myśli pierzchają w znikomą dal. Najdłużej trzyma się źrenicy ogień płomienistej nasturcji.

— Tak tu ładnie macie... — pochlebia Kasia Pietkowej i całkiem szczerze, idąc za nią do izby. — Taki ogródek, takie kwiaty... Ej, żeby to człek kiedy w życiu!...

— Cóż ci tu dać... pewnieś głodna?

Kasia obłapia gospodynię za nogi i prosi o jaki mały skwarcek spyrki. Dostała parę jajek, chciałaby sobie usmażyć. Oczywiście Pietkowa nie jest z kamienia, da się uprosić. Zaraz woła na dziewczynę, by rozpaliła ogień. Za chwilę stoi przed Kasią rondelek a w nim jajecznica z trzech jaj. Obok uczciwy kawał chleba.

Kasia łapczywie zabiera się do jedzenia. Nie pamięta, kiedy stały przed nią takie specjały. No, ale sobie użyje za wszystkie czasy!

Sięgnęła łyżką raz, drugi, trzeci... Cóż to? Za każdym razem wyczuwa coraz większą gorycz. Przypalone? A może spyrka była zgórzkniała? Może jajka... Niekżeta! Tak czy owak — musi zjeść wszystko. Byołby grzechem podobny dar boży zostawiać. Gdyby miała swoje kury, swoją spyrkę, mogłaby grymasić. Ale tak — musi się kontetować tem, co jej dadzą. Inne są prawa la biednych, a inne la bogatych. Całkiem inne. W dodatku musi przecież pamiętać o swych kościskach, żeby tak wszędzie nie sterczały. Musi jakoś inaczej wyglądać, bo jak nie — wszystko przepadło. Dziś chłopacy są przebiorni. straśnie przebiorni. Cały świat przebiorny, jedynie ona, jedynie może ona...

Niemal z gwałtem przełknęła ostatni kęs chleba. Gdyby nie to, że chlebem tym wytarła dno rondelka, napewnoby go zostawiła.

Po tej uczcie chwyciła ją taka bezwładność, że ani mowy o ruszeniu z miejsca. Tymczasem, dopóki „to“ nie przejdzie, kazali jej lęgnąć na wyrku. Z trudem zwlokła się z ławy.

Pod wieczór zaczęła silniej gorączkować. Wciąż wołała bezprzytomnie o światło.

— Nie bajdurzyłabyś! — złościła się na nią dziewka. — Słonko dobrze nie zaszło, a ta plecie głupstwa. Oślepłaś, czy co?

— Świećcie już!... tak ciemno, ciemno wszędzie... Muszę się ubierać, muszę... już grają. Ładną se Józek sprawił kapelę... ładnie grają.. Ale kiedy ja się ubiorę?... kiedy...

Przy wieczerzy naparzyła Pietkowa jakichś ziół i dała to Kasi wypić. Potem wszyscy poszli spać.

Wczas rano, gdy dziewka wyszła przed dom, by wypuścić z kurnika rozdzierające się kury, ze zdumieniem zobaczyła w ogródku skuloną postać Kasi. Już miała na nią zawołać, poco tarasi grządki, gdy coś jej szepło, że wołać już nie trzeba... że ludzki głos nic nie znaczy. Krzyk, który miała dla trupa, poniosła do izby, budząc wszystkich i stawiając na nogi.

Zrazu nikt nie chciał wierzyć. Cały dom hurmem wytoczył się na pole jedynie z ciekawości, a nie z przekonania, że w istocie tak się stać mogło. Lecz gdy zobaczyli skostniałą postać Kasi, z kwiatami we włosach, przytuloną do grządki połamanych astrów — dziedziniec zaległa cisza. Długą ciszę przerwało pianie koguta.

Zanosiło się na pogodny, słoneczny dzień.

Odezwał się dzwon...

Odezwał się poto, by skostniałą myśl ludzką, lamentującą nad trupem, nad nietrwałością form, nad przemijaniem bytów, unieść wzwyż, ponad śmierć, ponad niepokój serca.

Wosnak.

Przeszłość i przyszłość.



Zamieszczony obok obrazek mówi sam za siebie. Oto na rozstajnych drogach życia spotykają się ze sobą: przeszłość i przyszłość życia ludzkiego. Przeszłość w postaci starca, steranego pracą, trudami życia i wysiłkami nad tem, co było, a co już nigdy nie powróci. Przyszłość to mąż w sile wieku. Z oblicza jego bije siła i pewność siebie; zdaje mu się, że przed nim świat cały padnie na kolana i korzył się przed nim będzie. Nie widzi przed sobą tych trudności, jakie staną na drodze życia jego; zdaje mu się, że pokona wszystko, aby dojść w końcu do upragnionego celu. Przeszłość, mając życie poza sobą, widzi wszystko w innym świetle. Z oblicza jego, pełnego rozsądku, bije jakaś rezygnacja. Wspomina starzec, że i on był młody, że bujał po obłokach i gmachy niezniszczalne chciał budować z morskiej piany. Łudził się, ale wierzył... Życie jednak i jego przeciwności przekreśliło wszystkie jego zamierzenia. Przekonał się, iż wszystko jest marność nad marnościami i jeszcze raz marność. Na podstawie nabytego doświadczenia daje młodzieńcowi rozsądne wkazówki, ale ten nie słucha ich. Ufny w swe własne siły postanawia iść własną drogą. Mimo uszu puszcza cenne rady i przestrogi, aby się przekonać, że źle uczynił, kiedy znów i jego pochyli wiek ku ziemi, a przeciwności świata zwieją z myśli jego wszelkie ułudy. Przekona się wówczas, że starzec-przeszłość dobrze mu radził, ale wówczas będzie już zapóźno. I on kiedyś będzie innym chciał udzielić cennych rad, ale następcy jego pójdą jego śladami i nie posłuchają go. I tak zawsze i tak w kółko. Przeszłość staje przed przyszłością i chce kierować jej krokami, ale ta nie słucha rad doświadczonych, idzie własnemi drogami, a błądząc po ścieżynach życia, staje u kresu, nie dokonawszy niczego, albo tylko setną część swych zamierzeń.

Zabobon.

— Pójdziesz mi po sprawunek Antosiu — rzekła matka do syna swego, który był zajęty szukaniem czegoś pilnie w ogrodzie. — Zaraz mamo, tylko poszukam szczęścia, abym tem lepiej sprawił swoje zakupno! — odrzekł chłopiec.

— A cóż to za szczęście znaleść można w ogrodzie?

— Mama nie wie? — Jerzy mi powiadał wczoraj na ulicy, że jeżeli się znajdzie czterolistkową koniczynę i nosi się z sobą ten listek, to zawsze się ma szczęście. On, gdy ją miał przy bluzie, to znalazł sto złotych na drodze.

— Chłopcze, co ty gadasz? Wiara w takie rzeczy, to zabobon. Gdzieżby tam listek miał moc nieść ludziom szczęście! Czy nie mówiłam ci już o tem? — Przypisywanie mocy jakiej rzeczy stworzonej, której niema ani od Boga, ani z natury, to gusła i zabobony. Cóż tam listkowi do stozłotówki. Ktoś ją zgubił, leżała na drodze, więc przechodzący tamtędy Jerzy ją znalazł i nic w tem dziwnego. Pamiętaj, żebyś mi w takie głupstwa nie wierzył. Kto wierzy w zabobony, ten grzeszy i Boga obraża, bo zabobony, to pozostałości z ciemnego pogaństwa. Zabobony i wróżbiarstwa są głupotą i pewnym rodzajem bałwochwalstwa. Człowiek rozsądny zawsze się tem brzydzi.

— Czy święci też je ganili, mamo? — zapytał chłopak.

— Rozumie się, że ganili. Święty Paweł Apostoł ganił je ówczesnym chrześcijanom. Ci, którzy się bawili w gusła i wróżbiarstwa, wyłudzając od ludzi pieniądze, musieli spalić swe książki publicznie, chociaż przez to ponieśli stratę wynoszącą wielką sumę pieniędzy. Dusza nieśmiertelna więcej warta niż te pieniądze.

— Czy mama słyszała kiedy o jakich zabobonach? — zapytał ciekawie Antoś.

— Rozumie się, że słyszałam. Zdarzyło się, że ciężko zachorowała w podeszłym już wieku kobieta, wierząc w zabobony i wróżbę. Zaraz posłała do wróżki z zapytaniem, jak długo jeszcze żyć będzie? Usłużna

wróżka wzięła dobrą zapłatę i kazała jej słuchać uważnie ile razy zakuka kukułka w lesie, to będą jeszcze jej lata życia. Starowina słuchała, a kukułka kuka 20 razy. A no, 20 latek żyć jeszcze będę na ziemi — mówił do obecnych. Po odejściu wróżki, poczęła się mieć coraz gorzej. Dobra jej córka prosi, aby pozwoliła opatrzyć się św. Sakramentami, bo z nią źle i chce posłać po księdza. Ale chora o tem słuchać nie chce, ona przecie jeszcze długo żyć będzie. Nakłaniali ją sąsiedzi, by pamiętała o duszy i przyjęła Sakramenta święte, ale ta odrzekła, śmiejąc się z ich obawy:

— „Nie bójcie się o mnie, kukułka mi wywróżyła, że jeszcze żyć będę 20 lat, jeszcze mi nie czas na księdza!"

Córka widząc, że stan matki groźny, sama posłała z prośbą do księdza. Gdy kapłan przyszedł, chora już była nieprzytomna. Coś plotła o kukułce i zakończyła życie bez przyjęcia św. Sakramentów.

W Bogu powinniśmy pokładać nadzieje i tak czynić, jak nas Kościół św. uczy, a nie wierzyć w gusła i zabobony. Kukułka ma wiedzieć o życiu człowieka, kiedy kukułka nawet rozumu nie posiada. Co to za głupota słuchać jakichś niedorzeczności i jeszcze wierzyć w nie uporczywie.

— Teraz widziałeś jaka prawda mieści się w zabobonach i wróżbach.

— O mamo! już nie chcę czterolistkowej koniczyny. Chociażbym ją znalazł, tobym jej nawet nie podniósł.

Noszenie krzyżyka z P. Jezusem na szyji, medalika z najśw. Panną, czy szkaplerza, czy różańca, poświęconego przez Kościół, to godne katolika, nie tam listków lub trzymanie podków na progach, a widziałem je nie tylko w sklepach żydowskich, ale i katolickich progach.

Józef Serafin.



MACIEK BZDURA GADA:

Jakie to scęście la mnie okrutecne i la wszyćkich ludzi na świecie, zem ja sie nie urodził zołnirzem, ino Maćkiem Bzdurą. Nie przezywa mnie nikt ani od kaprali, ani sierziantów, ani oficyrów, ale kuzden woła na mnie: Maciek Bzdura, jak na moją nieboske matsie wołał: Kaśka Bzdurzonka. Bez to jestem scęśliwy i spokojny, jak jegomościowa gospodyni.

A przy wojsku to całkiem inacej. Wyprowadzą zołmirzy na paświsko, ustawią, jak jałówki na targowicy i robią z niemi komendyje. Choćby który chciał pojrzyć na to słonko, co po niebie spaceruje, albo na tę dzieuchę, co przed zołmirzami masiruje, to taki siarzia od wojska woła:

— W lewo patrz!

Niby la cego ja mam patrzyć w prawo, jak dziopa idzie z lewy strony? Rozmaicie se myślałem, jaz w końcu przysedłem do przekonania, ze on latego kazuje inksem patrzyć w prawo, aby sam mógł sie jej przypatrzyć. Jak znowu ta przechodzona dzieucha skręciła na prawo i juz jej kawałek kiecki widać było, to znowu nam sierzia powiada:

W lewo patrz!

— A bodajcie połamało — myśle sobie — ty zawse kazes tem bidnem chłopakom patrzyć nie tam, gdzieby nalezało i gdzieby oni coś niecoś zuźryć mogli, ino tam, gdzie tobie się podoba. A przecie chyba wis, ze taki bidny zołnirzyna niema swojej baby, to gdyby choć na cudzą popatrzył, to łzej byłoby mu na sumieniu.

Jesce co do patrzenia tam, gdzie nie trza, to przy wojsku jakosik idzie, bo jak taki kumendant kaze patrzyć w lewo, to wszyćkie chłopaki, cy sie jem chce, cy nie chce zwracają swoje łepety na lewo i tak równiuśko, jakby ich kto snurkiem za nosy pociągał. Ale juz gorzej idzie ze strzylaniem. Wkiejsik patrzyłem na takie strzylanie zołnirskie. Juz nie kapral, ale taki oficyr, co mu dwie gwiazdki ze strachu na ramie uciekły, wyprowadził ze śtyrdzieści chłopa za miasto, ustawił ich seregiem i powiada, ze teraz będą sie ucyli, jak mają strzelać. Jak tam niemi komenderował, to juz nie pamiętam, alem widział, jak chłopaki to zdejmowali strzelby z ramienia, to je przykładali do piersi, to celowali. Z początku nie sło to bardzo, ale potem sie wprawili i robili wszyscy, jak jeden. Nareście oficer powiada: „Pal" Pociągneli chłopaki za jęzicki u strzelb, prztykło tu i tam, ale zadna strzelba nie wypaliła.

— Aha! — myśle sobie — Człowiek robi wszyćko, co ty kazes, ale strzelba nie taka głupia. Nie chce się jej strzylać, to nie strzyla, ale jak zuźry jakiego Moskala, albo inksego Miemca, to i bez twojego rozkazania w łeb mu palnie, jaze się nogami nakryje. Przecie tak było i podcas niedawnej wojny. Pośli na wojne i skubanty i rzemieślniki i chłopaki od pługa. Nikt ich nie ucył strzylania, a przecie, jak zuźreli Moskala, to same jem strzelby strzylały i wystrzylały tyle tego gadziańśtwa, ze Lucyper w piekle wszyćkich Miemców zmobilizował, aby mu pomogli rachować, cy się tam który jakiemś cudownem sposobem do nieba nie przesmyknął.

Miemcy pomagali Lucyperowi bardzo gorliwie, a jest ich tam pono duzo, ze w całem piekle inksego języka prawie nie słychać, ino miemiecki. Zgłodniało to gadziańśtwo, bo jem zarcia brakowało, więc pilnowali dobrze Moskali, z których pono potem tyle dziegciu natopili, ze jem go i do dzisiaj na obiad nie brakuje.

Jak powiadam, z tego wszyćkiego patrzenia przy wojsku to w prawo, to w lewo, zadnego prefitu niema, niema go tez i z tego udawania, ze się strzyla, bo to wszyćko bujda. Na wojnie nikt nie będzie powiadał, kto gdzie ma patrzyć, bo kuzden zołmirz sam najlepiej będzie o tem wiedział, a co do strzylania, to im mniej będzie celował, to prędzej trafi. Bo przecie na wojnie ani Moskal, ani Niemiec nie ustawi mu się do cylu, zeby on w niego walił.

Jedna ino rzec przy wojsku teraz mi się podoba, której za dawnych casów austryjacko-prusko-moskiewskich nie było, to jest ze bez zime ucą przy wojsku chłopaków cytania i pisania, którego ich we wsi nie naucyli. I tak pójdzie do wojska niejeden jaki taki bejdak, co nawet małego „i" nie zna, a po kilkunastu miesiącach wraca do wsi hadukowany nicem pisarz gminny. I choćby na nic innego wojsko nie było przydatne, to na to jedno się przyda, zeby jak najwięcej ludzi rozumu naucyć. Bez to jak będe miał kiedy kilkunastu synów, to ich wszyćkich do wojska na taką egzecyrkę pośle, coby nie byli byle jakiemi bejdakami, ale znali nietylko małe ale i wielkie abecadło.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzibar II.



Gotowanie pomby.

Najulubieńszym napojem u murzynów jest tak zwana »pomba«. Robi się ją z owocu sorgho, który się kisi, następnie zlewa do naczyń, w nich się gotuje i zostawia dla fermentacji. Jeżeli napoju tego używa się zanim nastąpi fermentacja, wtedy jest słodki i nader odurzający i wówczas zwie się go tokwar; po fermentacji ma smak kwaskowy, bardzo orzeźwiający, podobny raczej do jabłecznika niż do piwa. Zwykle dodaje się do tego napoju kilka garści sorgho, aby się i pożywić przy piciu.

Na pierwszym naszym obrazku widzimy gotowanie tej pomby, a zarazem możemy zauważyć, jak mieszkają murzyni. Widzimy więc chaty, sklecone z gałęzi i gliny, kształtu okrągłego, nakryte stożkowatym dachem z trzciny, czy innych jakichś roślin. Widzimy też murzynkę, gotującą pombę. Kuchnią jej jest zwykła ziemia, na której ułożyła kilka polanek drzewa, a na nich postawiła garnki z pombą. Miesza w nich kijem gotujący się płyn. Jest ona zarazem piastunką własnego dziecięcia, które trzyma na plecach uwiązane w jakiejś szmacie. Przed jednym z domów i w pobliżu ogniska siedzą dwaj murzyni, którzy przypatrują się z zajęciem tej ważnej czynności.

Na drugim obrazku widzimy zanzibarskie pola ryżowe. Są one podobne raczej do naszych łąk, aniżeli do pól uprawnych. Całe łany pokrywa gęsto ryż bez żadnych bruzd i ścieżek, a wśród łanów rosną sobie najswobodniej drzewa, jak na niektórych naszych łąkach. Wśród tych łanów uganiają, jak to widzimy na naszym obrazku, antylopy, na które murzyni chętnie polują. Nie mając broni palnej, nie mogą do nich strzelać, z łuku trudno je również ubić, gdyż niełatwo dadzą się podejść, gdyż mają słuch nadzwyczaj bystry, więc za najlżejszym szmerem szybko uchodzą. Murzyni jednak radzą sobie w inny sposób. Oto na polach kopią głębokie doły, nakrywają je gałęziami tak, że są nietylko zdaleka, ale nawet zbliska niewidoczne. Przebiegająca antylopa, nie zauważywszy tej zasadzki, wpada do dołu, i chcąc nie chcąc, czeka przybycia człowieka, którego się staje łupem.

U murzynów istnieje ciekawy zwyczaj zawierania braterstwa krwi. Gdy dwóch ludzi chce zostać braćmi krwi, najpierw zabija się kurę i oskubawszy ją, dzieli się na dwie połowy i wyjmuje z niej wątrobę. Następnie obie połowy kury, jako też wątrobę piecze się na ogniu. Uczyniwszy to, obaj przyszli bracia krwi siadają na ziemi i wyciągają nogi ku sobie, a na znak łączności biorą sznurek i trzymają go w zębach każdy za jeden koniec. W prawej ręce każdy z nich dzierży połowę upieczonej wątroby. Dwóch znaczniejszych ludzi trzyma nad ich głowami miecz



Antylopy na polach zanzibarskich.

i nóż i posuwając powoli jednem ostrzem po drugiem, jakby dla wyostrzenia tychże, prowadzą ze sobą specjalną rozmowę, z której każde zdanie zakończają potwierdzającem słowem: He!

A oto wyjątek z takiej rozmowy:

— Gdy jaki obcy przyjdzie, zjedzmy go!... He!

— Jeżeli brat brata kochać nie będzie, niech go lew połknie!... He!

— Niech tygrys go pożre!... He!

— Niech go wąż ukąsi!... He!

— Niech ta wątroba, którą ma zjeść, otruje go!.. He!

— Niech wszystko to złe spadnie na tego, który nie kocha brata swego!... He! i t. d.

Takich zaklęć bywa niejednokrotnie kilkadziesiąt, a zakończają je zdaniem:

— A ten, który chce, aby się to wszystko skończyło, niech zje wątrobę! He!

W tej chwili rozcinają mieczem sznurek, a ten, który rozcinał kurę, daje teraz jedno lekkie pchnięcie ostrzem każdemu z dwóch zbratanych tak, aby krew trysła i podaje im garść soli. Ci posypują solą swoje rany, krwią własną skrapiają kawałki wątroby i podając je sobie wzajemnie, jedzą takowe.

Na tem kończy się ceremonja, a odtąd ci dwaj ludzie są ze sobą połączeni braterstwem na wieczne czasy i zawsze i wszędzie muszą sobie odtąd we wszystkiem pomagać. I prawie nigdy nie zdarza się, aby jeden brat krwi zawiódł kiedykolwiek drugiego brata.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

Nagle rozległ się w kościele jakby jęk jeden i ludzie z okrzykiem podziwienia twarzą na posadzkę padać poczęli.

— Ach, cud, cud! — słychać głosy po kościele, ucichła nagle muzyka skrzypka, on sam upadł u stóp Zbawiciela a przerażeni strażnicy odstąpili od niego.

— Zaprawdę, niewinny to człowiek! — zawołał teraz ksiądz Norbertanin — patrzcie, oto Chrystus Pan, Sędzia najwyższy, poruszył swą świętą stopą i spuścił mu drugi złoty trzewiczek!

— Cud, wielki cud! Bóg sam najlepiej go osądził! — wołali ludzie, cisnąc się do Piotrusia.

On, bezwładny jeszcze, leżał na posadzce, u głowy jego błyszczał, promieniejąc złotem, cudowny trzewiczek. Ścisk panował coraz większy. Ludzie pchali się dokoła, aby jak najbliżej tego miejsca cudownego się znaleść. Strażnicy, co pilnowali Pietrka, padli na twarz, bijąc się w piersi. Starosta wyskoczył z ławki, ukląkł pod murem i pochylił się, przerażony i zawstydzony, widząc, jak fałszywy wyrok wydany został. Kiedy Pietrek przyszedł do przytomności, powstał z ziemi i złoty trzewiczek, który przed nim leżał, z wielką nieśmiałością wziął w ręce. Głos sumienia mówił mu, aby wziął ten skarb drogi i aby go spieniężył tak, jak to pierwszy raz chciał uczynić. — Podniósł się zwolna, a trzymając w rękach trzewiczek, wzniósł go ku Zbawicielowi i zawołał wielkim głosem:

— O Panie, Boże wielki, o cudowny Jezu Chryste, dzięki składam Ci za ten cud szczególny, jaki na mnie biednego, na mnie niegodnego zesłałeś!!

Jeszcze pomodlił się chwilę, jeszcze pokłon oddał Chrystusowi, a potem ze swoim skarbem wyszedł z kościoła.

27. Szczęście starej matki.

Ludzie, kiwając głowami, rozchodzili się do domów, daleko roznosząc sławę o cudownem zdarzeniu. Jedna gromadka, otaczając Piotrusa wielkim szacunkiem, odprowadziła go do chaty. Ale natchniony skrzypek pragnął samotności i unikał ludzi.

— O matko, matko droga! — zawołał, wchodząc i rzucając się matce na szyję.

— Piotrusiu mój, jeszcze cię widzę!? — zawołała radośnie stara Hanna i powoli zesunęła się z łoża.

— Matulu, matulu, jam wolny, Bóg nas nie opuścił, Bóg ma nas w swej świętej opiece, patrzajcie oto...

Matka nie odrazu rzecz zrozumiała.

— Co Piotrusiu, co? — pytała osłabiona.

— Pan Jezus spuścił mi drugi trzewiczek złoty, o! I z pobożnym ruchem ukazał go matce.

— O wielki Boże! — krzyknęła Hanna i padła na kolana. Rozpłakała się, ucałowała złoty trzewiczek i modlić się poczęła.

— O synu mój, jakiejże Bóg pozwolił mi doczekać pociechy na tobie! — zawołała po chwili przez łzy. Piotruś ściskał i całował swój skarb.

— Matulu, ja tak kocham tego Pana Jezusa!

— O moje dziecko!

I matka ucałowała syna w głowę. Coraz bardziej ożywiała się, zapominając o chorobie.

— Matulu — rzekł Pietrek po chwili — ja pójdę z tym trzewiczkiem do złotnika, ale szkoda...

— Idź Piotrusiu, co zrobisz, to już Pan Jezus tobą kieruje, mój synu!

Po tem nabożnem uniesieniu stara Hanna zakręciła się po izbie, stanęła znów przed Pietrkiem i wpatrzyła się w niego. Twarz ożywiła jej się uśmiechem, oczy świeciły niezwykłym blaskiem. Wśród tego Boskiego odznaczenia zapragnęła nagle i ziemskiego jeszcze uzupełnienia szczęścia swego syna. — Górująca pośród jej zwykłych myśli i pragnień, myśl ożenienia go zagrała w niej teraz silnie.

— Pietrku! — zawołała wesoło.

— Cóż matulu?!

— No, to teraz Zaliwina już pozwolą?...

— Pozwolą?.... ej!

— A no z Jagną?!

Pietrek nic nie odpowiadał i w ziemię patrzył.

— No, jakże z Jagienką, co?

— Eh, nie mówcie mi teraz o tem!

Stara Hanna spochmurniała. W prostocie ducha uszczęśliwiona matka, mająca swój cel na myśli, nie zdawała sobie teraz sprawy, jak ważnej przemianie ulegało serce jej syna, jak ono tylko do Chrystusa się zwracało.

Jakby w odpowiedzi na te pragnienia matki, Pietrek uściskał i ucałował znów złoty trzewiczek.

— O matulu, ja tak kocham, jak tak wielbię najsłodszego Pana Jezusa! — dodał z zapałem. I pochylił się matce do kolan a potem wziąwszy złoty trzewiczek, wyszedł z nim z chaty. Podążył spiesznie do mieszkania księdza Norbertanina; wkrótce udali się obaj do miasta.

Z wielkiem uszanowaniem przyjął Pietrka stary złotnik, wziął z jego rąk złoty trzewiczek i, prawie nie śmiejąc mu w oczy patrzeć, wypłacił mu zaraz znaczną sumę. Suma ta zwrócona mu potem została z dochodów miejskich.

28. Po wspaniałej uroczystości.

Jakiż to pobożny orszak dąży z pod zamku brzegiem Wisły ku Zwierzyńcowi? Na przodzie kroczy ksiądz w białej szacie, niesie uroczyście jakiś przedmiot osłonięty i nuci pieśń pobożną. Za nim gromadzi się coraz więcej ludzi, wnet duży tłum podąża prze całą szerokość drogi. Ksiądz na czele skręcił od Wisły w górę, przed kościół św. Salwatora. Stanął, zwrócił się do ludu, śpiew ustał a rozległy się pobożne słowa kapłana, donośnym wypowiadane głosem. Po przemowie wszedł ksiądz do kościoła, za nim wcisnęli się ludzie. Rozległ się głos dzwonka, zabrzmiał znów śpiew i solenne zaczęło się nabożeństwo. Nabożeństwo to ku czci słodkiego Pana Jezusa, któremu na świętą stopę wkłada kapłan uroczyście niesiony złoty trzewiczek!

Cisza, jak makiem zasiał, zapanowała przy tym akcie ponad tłumami. Na znak kapłana rzucili się ludzie do ucałowania cudownego trzewiczka. Pierwszy przystąpił rozpromieniony, szczęśliwy skrzypek. Zaraz za nim pochylił się do ziemi ogromny stary chłop.

To Sylwer Drążek.

I znowu cisza. Ludzie po nabożeństwie rozchodzą się do domów, na ustach wszystkich nazwisko wybrańca Bożego: Piotra Skały.

Za kościołem stoi zamyślona Jagienka. Z pośród ludzi przystąpił do niej młodzieniec i chwycił ją za rękę.

— Jagienko moja... bądź zdrowa! — rzekł cichym głosem.

— Gdzie idziesz Piotrusiu? — spytała czule.

— Ja, ja?... jeszcze do kościoła; a już tylko dla Chrystusa teraz żyję, Jagienko!... mówił niespokojnie.

— Tak? — zapytała, popatrzyła na niego dużemi oczyma, w których łzy się kręciły i nagle zachwiała się na nogach. Gdy Pietrek zniknął w bramie kościelnej, ona gwałtownym ruchem puściła się do domu.

Zastąpił jej smukły, strojny parobczak, Waligóra; pochyla się do niej i pieszczonym głosem łagodne mówi słowa. Ona ze zwieszoną głową słucha obojętnie, lecz zwolniła kroku, zbliżając się do chaty.

Już pusto koło świątyni. Tylko stara kobieta siedzi jeszcze u progu, przytulona do muru kościelnego. Siedzi i drzemie, kiwając zawiniętą głową.

Uderzenie kijem o mur zbudziło ją nagle.

— Hej!!! — rozległ się dziki głos.

— A czego?! — wrzasnęła baba.

— Szczęśliwy chłop, szczęśliwy, teraz Zaliwiankę weźmie, prawda, ho?!

— Szczęśliwy Pietrek tak tak... mruknęła baba.

— Ha do Peruna!!! — zaklął chłop i trzasnął kijem, jakby starą bić chciał, potem w las gnać począł z wichrem, co się teraz zerwał.

To burzliwy i szalejący za Jagienką Bartos. Łudzony przez Pieczarzynę i ciesząc się nadzieją otrzymania ręki dziewczęcia, teraz, z powrotem i takiem podniesieniem Pietrka, nabił sobie głowę tą myślą, że on ją zaraz poślubi, więc w szaloną wpadał rozpacz. W takim stanie nawet tak wielki cud, jaki stał się ze złotym trzewiczkiem, cud, po którym on, w swojem pojęciu, stał się nieszczęśliwym, nie mógł go oprzytomnić.

Baba spojrzała za nim.

— Głupi jędzoń! — mruknęła, odwróciła się od wiatru i znów zwiesiła głowę.

29. Wesele.

Muzyka koło chaty Zaliwów się rozlega. Słychać piskliwe skrzypce, wtórują im potężne basy. Drużbowie, drużki przebiegają, kwiatki sobie przypinają i ozdoby brzęczące, popijają przytem, częstują się. Tylko panny młodej, ani pana młodego nigdzie nie widać.

Tam za węgłem chaty jakaś smutna stoi dziewczyna, rękę na ramieniu młodszej siostrzyczki wsparła, główkę zwiesiła i łzy roni.

To panna młoda.

Tam znów w jasno wybielonej izbie chaty ze starą gospodynią rozprawia żywo jakiś chłopak dorodny, świątecznie przystrojony.

To pewnie pan młody.

Tylko wesoła druchna, Maryna Klicianka, za wszystkich się uwija, biega, kwiatki przypina koło niej strojny drużba z czerwoną chustką na ramieniu Jaksa *) Poniedziałek się kręci i śpiewa i w takt dalekiej muzyki podryguje. Oboje mizdrzą się do siebie, zabiegają i gości w imieniu młodych na gody zapraszają, witają, prowadzą. Schodzą się rodziny Zadorów, Pietrasów, Łuszczyków, Stanków, Baranów, Jamrozów, Koników, i innych. Tylko Zofki Drążkównej z za rzeki nie widać, ani najżywszego ze wszystkich parobczaków Bartka Kordasa.

O właśnie biegnie on do lasu z wzniesionym do góry kijem. Gromada dzieci z boku zerwała się z krzykiem:

— Kordas leci, Kordas leci, uciekajta!

Drużba na konia się zwiesił, przegiął się, skoczył zastępując.

Kordas zatrzymał się i wrzasnął dziko:

— Gdzie wesele, czyje wesele, no?!

— Pięknej Jagienki wesele, hej, nie wiesz to? A chodź-że chodź!

Za Pietrka idzie, za skrzypka idzie, co? — krzyczał, pytając, Bartos.

— Jakiego Pietrka nie wiesz, gdzieś bywał Bartosie? — pytali jedni i wybuchali śmiechem.

Kordas kijem machnął, wykręcił się i w las popędził.

— O, Bartosowi zepsowało się we łbie z żalu za tą Jagną! — szeptali ludzie.

On leciał jak opętany, stawał, wykręcał się i znów pędził. Nagle zatrzymał się, podskoczył, wzniósł kij do góry i puścił się wprost do starego dębu.

— Ha Pieczaro ha czarownico, tyś winna, dam ja ci, ha!! — krzyczał.

Przypadł do dębu, ale baby nie było, z dziupli wyskoczył tylko czarny kot, mrucząc. Bartos zamierzył się kijem, grzmotnął i biedny mruczek leżał już wyciągnięty na ziemi.

On pędził już dalej. uciekał przed weselną muzyką, której tony jakby go ścigały. Południe mijało, chmury gromadziły się na niebie, deszcz kropić począł, on biegł. Wyskoczył na drugą stronę lasu, nagle stanął, za głowę się wziął, cisnął czapką o ziemię. Z zamachu o drzewo się oparł.

— O bestye — wołał — już się pobrały, już po ślubie... ho, ha! O Jagno, Jagienko!

---

*) Jaksa czyli Jakób.

(Dokończenie nastąpi).

Rocznica niepodległości Polski w niebie.

Rodakom na »Gwiazdkę« poświęca — Autor.

Piękny był dzień wiosenny dnia 27 marca 1928 roku, bo po długiej i ostrej zimie błysnęło słońce, budząc nowe życie w przyrodzie i wzmacniając nadzieję lepszego jutra w każdem stworzeniu. Wesoło było w sercach wszystkich Polaków, gdyż przepełniała je nadzieja lepszej przyszłości. W dniu tym bowiem zebrał się nowowybrany Sejm, który pod kierunkiem ukochanego Wodza narodu Józefa Piłsudskiego miał pracować dla dobra wszystkich obywateli tego kraju.

W dniu tym uroczysty nastrój był także między Polakami i w niebie. Cieszyli się święci Polacy, że Polska krzepi się, że nabiera sił nowych, a synowie jej ziemscy stają do pracy, aby Ojczyźnie swej zapewnić świetlaną przyszłość. Jedynie Rejtan stał na uboczu i nie podzielał ogólnej wesołości. Zwrócili się ku niemu święci polscy, którzy prawie pół nieba zapełniali i jęli go pocieszać, że Polacy, nauczeni srogą niewolą, do czego prowadzą waśnie i niezgoda, zaczną dla dobra wszystkich tego państwa obywateli teraz pracować i nie popadną w dane błędy. Rejtan wszystkie te pocieszenia przyjmował ze smutnym uśmiechem, a jeno powtarzał: „Zobaczymy, zobaczymy!“

A opodal stał święty biskup Stanisław Szczepanowski, którego twarz dziwny również smutek zasępiał. Zoczył go Pan Bóg i zapytał:

— Stanisławie, miły sercu memu synu, czemuś ty dziś smutny, kiedy wszyscy Polacy nietylko w niebie, ale i na ziemi są dziś weseli?

Pokłonił się święty Panu kornie i powiada:

— Smutny jestem, Panie, bo złe wieści nadchodzą z Ojczyzny mojej. Płaczę łzami krwawemi nad niedolą i zaślepieniem rodaków, a braci moich.

— W niebie jesteś, więc co ludzkiego zostaw ludziom! — rzekł Pan.

— O Panie nasz! — zawołał święty, chyląc się kornie do stóp Pańskich. — Ty wiesz, że jestem patronem kraju mojego, a naród ten dał mi pierwsze miejsce w Twej świątyni na Wawelu. Jakżeż więc mam nie boleć nad niedolą i głupotą mych rodaków?

Pomyślał Pan Bóg chwilę i rzekł:

— Żeś ty jest mi miły i wiedząc, że Ojczyzna twoja to matka świętych i ziemia bohaterów, więc pozwalam ci iść na ziemie polskie na jedną dobę. Idź i zapytaj braci twoich, czegoby chcieli dla dobra swego i dla dobra swojego kraju. Idź i zapytaj ich i przynieś mi to, a ja wypełnię wszystko, czego życzyć sobie będą, abyś nie miał smutku w domu moim.

Ucałował rękę Pańską święty w podzięce, opuścił niebo i cieszył się, że z taką wielką nowiną i taką nadzwyczajną łaską Boską stanie przed swymi rodakami na ziemi.

A kiedy zjawił się w Warszawie, wieść o tem obiegła kraj cały. Zaczęli się zbiegać ku niemu wszyscy tłumnie, i wielcy i mali w narodzie i jęli pytać:

— Co nam przynosisz święty nasz Patronie?

— Łaskę samego Stwórcy wam przynoszę — odrzekł święty Stanisław. — Wyłóżcie mi prośby wasze, czego wam i krajowi waszemu potrzeba do szczęścia, a ja życzenia wasze zaniosę przed tron Najwyższego, a On je wypełni, jako mi przyobiecał.

I wystąpił pierwszy Endek, a zgrzytając zębami, rzekł:

— Błagam cię, święty Stanisławie, żebyś ogniem z nieba spalił wszystkich komunistów, socjałów i radykałów, od najstarszego aż do dziecka. Niech ani ślad najmniejszy po nich nie zostanie w Ojczyźnie mojej!

Zapisał to święty, ale łzami żałości napełniły się jego oczy.

I zapytał znów następnego, czegoby on sobie życzył dla dobra swej Ojczyzny? A on mu na to:

— Jestem Pepeesem, socjalistą, i proszę cię święty patronie Polski, żebyś spuścił pomór na wszystkich burżujów i kapitalistów; żeby zczezł marnie każdy, kto posiada więcej, aniżeli ja mam!

— Boże mój, Boże! — westchnął święty — daj im większy rozum! — ale zapisał i to życzenie.

A potem przyszedł opasły i gruby dorobkiewicz, a ucałowawszy w ramię świętego i odsapnąwszy należycie, powiada:

— Ja pragnę, żeby wszystko, co chłopskie jest i chłopskiego pochodzenia, wyginęło, a ziemie kmiece do naszych dworów były wcielone. Bo myśmy jest solą tej ziemi i my mamy być panami wszystkiego, jak to dawniej bywało.

Otarł święty łzy boleści, ale i tę prośbę zapisał.

I zobaczył na boku chłopa, prawie takiego, jak go widział za czasów Bolesława Śmiałego, gdy stawał przed wojskiem króla w jego obronie, więc się go zapytał:

— A ty o co prosisz kmieciu poczciwy?

A kmieć, ułapiwszy za nogi świętego, tak rzecze:

— Ja tam wielkich rzeczy nie pragnę, a jeno siarki a smoły na tych wszystkich, którzy mają większe obszary dworskie. Niech ich poroznosi po polach, bo my chłopy Piasty damy sobie sami radę.

Zapisał i to życzenie święty ze smutkiem i zapisywał dalej wszystko, czego sobie kto życzył.

I tak konserwatysta życzył nagłej śmierci wszystkim demokratom, człowiek liberalny prosił o wytracenie wszystkich ludzi dawnych pojęć, mieszczanin błagał o pogromy po wsiach, a ludzie ze wsi o zniszczenie wszystkich miast i miasteczek. Następnie szli robotnicy z życzeniami, ażeby się spaliły wszystkie fabryki, a fabrykanci i przemysłowcy wzywali pomsty na robotników. A w chaosie tych życzeń nie słychać było ani jednej myśli twórczej, ale samą chęć zagłady i unicestwienia braci inych przekonań lub stanów. Każdy pamiętał jeno o sobie, a pragnął pognębienia swego rzeczywistego, czy urojonego wroga.

A na uboczu stała gromadka niewielka ludzi i z politowaniem patrzyła na warchołów, którzy żądali wyniszczenia niemal kraju całego. A wśród gromadki tej jaśniała świetlana postać Wodza narodu i wskrzesiciela polskiej Ojczyzny, Marszałka Piłsudskiego. Na zapytanie świętego, czego oni sobie życzą, zawołali jednogłośnie:

— Opieki Boskiej nad tą biedną Polską, a nam sił do pracy dla dobra Jej i Jej chwały!

Święty zapisał z wielką radością to życzenie i byłoby się wszystko może dobrze skończyło, gdyby ktoś z tłumu nie był zapytał:

— No dobrze, święty nasz Patronie, ale chcielibyśmy wiedzieć, które stronnictwo będziesz Ty popierał w niebie?

Ale święty Staniław nie zrozumiał tego pytania, albowiem za czasów jego nie znano żadnych stronnictw. Wszyscy byli synami jednej Ojczyzny i wszyscy pracowali dla jej dobra. Nie chcąc jednak pytającego pozostawić bez odpowiedzi, zawołał:

— Bracia kochani jestem Polakiem!...

Tłum jednak nie dał mu dalej mówić. Rozwarcholeni partyjnicy, widząc, że on nie należy do ich

obozu, gromadą bez względu na przekonania polityczne rzucili się w stronę świętego, wygrażając pięściami, i kto wie, czy naród polski nie byłby się stał drugim Bolesławem Śmiałym, gdyby u boku świętego biskupa nie stanął książę Józef Poniatowski, którego Pan Bóg na wszelki wypadek zesłał na ziemię w ślad Męczennika, by mu był w razie potrzeby obrońcą. Ten zasłonił swym mieczem świętego Biskupa, wołając:

— Bóg mi powierzył honor Polaków, więc i tym razem nie dopuszczę do ich pohańbienia.

Rzekłszy to, ujął świętego Stanisława pod ramię i obaj, jako duchy świetlane znikli z przed oczu rozwydrzonego tłumu. A kiedy stanęli w niebie, starali się być jak najdalej od tronu Bożego, gdyż wstyd ich wielki palił za ich rodaków na ziemi. Ale Pan, przed którego okiem nic się ukryć nie da, przywołał ich ku sobie i zapytał, z czem przybyli z tej ziemi, na którą zejść im pozwolił.

Padł święty Stanisław na twarz przed majestatem Stwórcy, a podając mu spisane życzenia swych rodaków, zawołał głosem, pełnym boleści:

— Panie i Boże nasz! Zapomnij, coś przyrzekł, bo co będzie z moją kochaną Ojczyzną, jeżeli przyrzeczenia swego dotrzymasz?

A słysząc jęk bolesny świętego Stanisława, padła przed tronem Najwyższego Królowa Korony Polskiej, a w ślad za Nią, by sierpem podcięte kłosy, runęła cała rzesza tych, co to nietylko majątki, co to nietylko przyszłość swych rodzin ale życie swe dawali za kraj swój i w obronie wiary świętej ojców swoich ze słowami: Jezus, Marja! umierali na polu chwały. Przed tronem Najwyższego pochyliły się głowy nieprzeliczonych tysięcy tych, którzy przed hordami barbarzyńców bronili kościołów i cerkwi na kresach swej Ojczyzny, którzy za życia swego przepełniali katorgi sybirskie, którzy krwią swoją znaczyli szerokie szlaki świata całego. Niebo przepełnił jęk jeden i prośba jedna:

— Panie! Zapomnij, coś był przyrzekł i zmiłuj się nad tą biedną Ojczyzną naszą!

A Pan, który jest nietylko najsprawiedliwszy, ale i najmiłosierniejszy, rzekł:

— Jako przed wiekami na prośbę Abrahama chciałem darować Sodomie i Gomorze dla pięciu sprawiedliwych, tako i dziś uczynię. Pomnąc zasługi Polaków dla wiary mojej, nie uczynię tego, czego oni dziś sami pragną w swej większości, ale otoczę opieką tych nielicznych, którzy jeno dobro swojego kraju mają na celu. Dla tych niewielu sprawiedliwych otoczę naród wasz i ziemię waszą swą Boską opieką i dam wam wodzów czystych rąk, serca szlachetnego i umysłu uczciwego, jako wam dałem teraz w osobie Józefa Piłsudskiego. I dawniej Polacy stawiali przeszkody tym, których synowie i wnuki ich czczą, jako bohaterów, tak samo synowie i wnuki dzisiejszych warchołów będą czcić tego, który imię Polski wsławił po wszystkich krańcach ziemi i który Polskę z niewoli wyprowadził. Wy zaś, którzyście już z nietamtego świata, zanieście rodakom swym wolę mą i rozkazanie niechaj nie walczą o prywatę, niech nie obrzucają się nawzajem oszczerstwami na szkodę i hańbę kraju własnego, a na pociechę wrogów ich, ale niech się kochają i wspierają nawzajem, a będę im Panem i Bogiem łaskawym na wieki!...

I podniósł się głos dziękczynienia, głos przy wtórze Aniołów i muzyki anielskiej, a serca świętych Polaków napełniła nadzieja lepszej przyszłości.

Żurawica w grudniu 1929 r. *Ignacy Krzyk.*

Poradnik gospodarczy.

Hodujmy króliki.

Kto z nas nie zna królików? Miłe te stworzonka zajmowały nas bardzo w latach chłopięcych, stanowiły one obok gołębi pierwsze nasze gospodarstwo. Potem gdyśmy poczuli na swych plecach korce, króliki jako drobiazg zabawny, poszły w zapomnienie, aż znowu przypominają się nam od czasu do czasu w rękach naszych synów, którym za tę niewinną zabawkę urządzamy nieraz frycówkę. Słowem, patrzyliśmy i patrzymy na królika, jako na rozrywkę, nie przynoszącą żadnej korzyści, a często nawet szkodliwą.

Tymczasem narody zagraniczne, wyprzedzające nas rachunkiem i praktycznością, zajmują się królikami poważnie, hodują je starannie i czerpią z tego źródła pożytek i dochód nie do pogardzenia. Wiedzą one o tem, że królik jest bardzo płodny, jak żadne inne stworzenie, a pozatem tak tani, że najuboższy obywatel może go nabyć łatwo i prędko doczekać się ładnego przychówku. Wiedzą dalej, że królik nie potrzebuje kosztownych budynków i karmi się rozmaitemi odpadkami z gospodarstwa, wyrzucanemi nieraz na śmiecie. A pożytek jaki?

Królik daje nienajgorsze futerko, wyprawiane łatwo u siebie w domu i mięso wysokiej, zdrowotnej i odżywczej wartości. Chłop francuski nie może żyć bez królików, codziennie idzie do zagrody, wybiera, wyciągnie najtłuściejszego, trzepnie za uszy, skórę na płot, a mięso do garnka i w ten sposób nigdy nie siada do pustego stołu. Spożycie roczne królików we Francji przewyższa 80 miljonów sztuk. Anglja, Danja, Holandja, Niemcy, Szwajcarja hodują i spożywają 300 miljonów tych zwierzątek.

Liczby te mówią nam nie o zabawkowej i doraźnej hodowli królików, ale o masowem, planowem przedsiębiorstwie, opartem na rachunku i pożytku. Narody te chwalą sobie bardzo króliki, cenią je szczerze i należycie hodują, bo przyszły do przekonania, że małym nakładem i zachodem zyskują znaczną pomoc w ciężarach gospodarczych i utrzymania domu.

W Polsce spotykamy nielicznych hodowców-amatorów królików na wzór zagraniczny, pozatem więcej rozpowszechnioną hodowlę widzimy w Poznańskiem i na Pomorzu, a głównie na fabrycznym Śląsku. Wogóle królikiem więcej u nas zajmuje się ludność fabryczna i miejska niż wiejska. Ludność wiejska, pozbawiona roli, siedząca komorą w ciasnocie, znajdzie jednak tyle miejsca, by przytulić te pożyteczne zwierzątka, kupić dla nich żywność i dobrze wyjść na tem.

Kto chce mieć dochód rzetelny z królików, musi je przedewszystkiem umiejscowić. Trzeba zrobić wąską wystawkę przy ścianie jakiego budynku, najlepiej od południa (chodzi tu tylko o dach na słupkach), pod tym dachem ułożyć lub wymurować podłogę, na nie ustawić pudła z otworami — niby jamy, a wszystko otoczyć siatką drucianą tak, żeby żaden szkodnik się nie przedostał.

Króliki w ten sposób będą się hodowały w zagrodzie, jam kopać i rozłazić się nie będą, dostęp jest do nich przez drzwi łatwy i można równie dowoli kierować do jaknajlepszego rozwoju. Oczywiście, pożywienia trzeba im dostarczać i robić codziennie w zagrodzie porządek, to jest przestrzegać czystości, jako asekuracji od wszelkich chorób.

Tak postępuje z królikami zagranica i my powinniśmy pójść w jej ślady, a przekonamy się, że

Stwórca w małych rzeczach ukrył wielkie pożytki, które będą nam dużą pomocą w ciężarze życia. Dzieci nasze będą chętnie doglądać królików, bo je lubią, przepadają za nimi, a jeszcze więcej będą lubiły, gdy matusia naleje im miskę tłustego, smacznego i pożywnego barszczu, a w nim będzie pływać ćwiartka królika. A co najważniejsza, dzieci te będą się wychowywać, uczyć i zaprawiać na królikach do przyszłego gospodarstwa.

Samiczka królika daje do pięć wykotów rocznie, przeciętnie po 6 sztuk potomstwa — i już mamy po roku 30 sztuk dochówku od jednej matki. Ktoby nabył gniazdo królików, złożone z 10 samic i jednego samca, będzie miał na zimę 300 sztuk młodzieży.

300 skórek, licząc lekko po 2 zł., dadzą 600 złotych dochodu, a mięsa starczy, po uwzględnieniu postów, na rok cały codziennie po sztuce. Trzeba dobrego wieprza, żeby w tym samym czasie dał taki dochód, a choć go da, nie będzie mięsa, a co on zje chleba, gotowania i obsługi, tego króliki nigdy widzieć nie będą.

KRONIKA.

Od Redakcji. Następny numer „Roli“ będzie ostatnim w bieżącym roku. Zamkniemy nim czwarty rok wznowionej naszej działalności, a zamkniemy go z tem przeświadczeniem, żeśmy dali naszym Czytelnikom to, cośmy mogli dać najlepszego. Z listów otrzymywanych przez cały rok, przekonujemy się, że Czytelnicy z pracy naszej są zadowoleni, bo też nie skąpili nam swego uznania. Ale wiemy też i to, że „Rola“ mogłaby być jeszcze lepszą, a że taką nie jest, to już nie nasza wina. Do ulepszenia wydawnictwa trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. A tu tymczasem dochody z prenumeraty „Roli“, choć znaczne, zaledwie pokrywają wszystkie wydatki. Papier, druk, obrazki, poczta pochłaniają wszystko to, co Czytelnicy wpłacą tak, że na ulepszenie wydawnictwa nic już nie pozostaje. Tembardziej, jeżeli się zważy, że „Rola“ jest najtańszem pismem ludowem. Wprawdzie prenumerata innych gazet ludowych jest niższą od prenumeraty „Roli“, bo wynosi tylko 10 zł. rocznie, ale też gazetki te dają tygodniowo tylko cztery karteczki na lichym papierze, bez obrazków i kolorowej okładki. Jeżeli się zważy to, to można się przekonać, że „Rola“ jest więcej niż dwa razy tańsza od innych gazetek. W „Roli“ za nasze pieniądze mamy pouczenie i godziwą rozrywkę, a w innych szkalowania współbraci, stek wyzwisk i kłamstw, wzajemne ujadania, wichrzenie wśród braci jednej Ojczyzny. Zresztą, co kto lubi, niech za to płaci. My i nadal, jak dotychczas, waśni żadnych uprawiać nie będziemy, a będziemy się starali jedynie ulepszyć „Rolę“ tak pod względem jej literackiego poziomu, jak i zewnętrznego wyglądu, a gdy Czytelnicy nasze usiłowania poprą, to i o powiększeniu jej pomyślimy. A poparcie to taka łatwa rzecz. Należy jeno zachęcać swych znajomych do zaprenumerowania sobie „Roli“; kto jej nie zna, pożyczyć mu do przeczytania jeden lub dwa numera (więcej nie, bo mimowoli staje się pasożytem), a gdy się mu „Rola“ spodoba, zachęcić, aby sobie ją sam dla siebie zaprenumerował. Im więcej będziemy mieli prenumeratorów, tem siły się nasze wzmogą i będziemy mogli szybciej wprowadzić niejedno ulepszenie. A na tem sami Czytelnicy skorzystają. O poparcie to prosimy, a teraz przy zbliżającym się Nowym Roku jest ono najłatwiejsze.

Od Administracji. Z powodu przypadających tegorocznych świąt Bożego Narodzenia na środę i czwartek ekspedycja numeru 52 (świątecznego) odbędzie się w sobotę 21 grudnia b. r. Wobec tego wyżej wymieniony numer „Roli“ wszyscy Prenumeratorzy powinni otrzymać w poniedziałek 23 grudnia b. r. Również we wszystkich agencjach gazet i Kółkach rolniczych „Rola“ będzie do nabycia w poniedziałek 23 b. m.

Do dzisiejszego numeru „Roli“ dołączamy czeki wszystkim Prenumeratorom.

Ujęcie groźnego bandyty. Przed kilku tygodniami w Krakowie przy ul. Miodowej bandyci zamordowali policjanta, a wkrótce potem drugiego w Borku Fałęckim koło Krakowa. Policja zaczęła śledzić za zbrodniarzami i przed miesiącem dopadła ich w Przegorzałach. W czasie wzajemnej strzelaniny jeden z bandytów padł trupem, drugi zaś, Jan Kaczmarczyk, zdołał umknąć. Dopiero w ubiegłym tygodniu policji ze Skawiny udało się stwierdzić, że poszukiwany Kaczmarczyk wszedł do domu Piotra Grabowskiego w Tyńcu. Zaalarmowany natychmiast wydział śledczy w Krakowie wysłał odpowiewiednią ilość funkcjonarjuszy. Obsadzono dom i stodołę, a z nadejściem dnia po opróżnieniu domu z domowników, przystąpiono do przeszukania budynku, zrobiono kilka dziur w dachu dla światła, przeszukano izbę mieszkalną, strych, przyczem trzeba było wyrzucić wszystko siano i słomę na pole, a wkońcu przystąpiono do przeszukania stodoły, z której prowadzi zejście do piwnicy z ziemniakami. Gdy stwierdzono, że Kaczmarczyk ukrył się w piwnicy za ślepą framugą, która służyła poprzedniemu właścicielowi domu za schowek na zboże przed rekwizycjami w czasie wojny, zakryto wejście do piwnicy słomą i przez okienko rzucono granat łzawiący, który odniósł ten skutek, że po otwarciu piwnicy, usłuchał wkońcu wezwania i wyszedł powoli na zewnątrz, poczem został ujęty i zakuty w kajdany. Właściciela domu Piotra Grabowskiego za ukrywanie przestępcy również aresztowano.

Tajemnicze zwłoki w górach. W dniu 8 b. m. w szałasie Michała Maciasza w górach, obok gminy Łopuszna w powiecie nowotarskim, znaleziono zwłoki mężczyzny z raną postrzałową pod lewym uchem i dolną szczęką. Tożsamości nie stwierdzono. Wstępne dochodzenia wykazały, że śmierć nastąpiła przed kilku dniami. Zwłoki przewieziono do kostnicy w Łopusznej. Dochodzenia w toku.

Tragiczna śmierć złodzieja. W powiecie jaworowskim od dłuższego czasu grasował niebezpieczny złodziej, nazwiskiem Wasyl Kosyk, stale zamieszkały w Czernielowie. Onegdaj w południe na drodze koło wsi Nakoneczne zetknął się on z posterunkowym Stanisławem Babiarzem, który był w służbie obchodowej. Babiarz zatrzymał Kosyka i począł go legitymować. W czasie tej czynności Kosyk zaatakował Babiarza, wobec czego ten zrobił użytek z broni palnej. W krytycznym momencie. Babiarz strzelił z karabinu, a kula ugodziła Kosyka w prawy bok. W następstwie tego Kosyk w trzy kwadranse później z powodu upływu krwi zakończył życie

Tajemniczy napad. Onegdaj dokonany został tajemniczy zamach morderczy niedaleko Horodenki. Gdy mianowicie gospodarz Dmytro Kobylański powracał wozem z Obertyna do Niezwisk wraz ze swą przyjaciółką Katarzyną Semeńczuk, w chwili przejeżdżania przez Ha-

rasymów został w tajemniczy sposób ugodzony z tyłu siekierą w głowę. Cios był tak silny, że czaszka uległa roztrzaskaniu i mózg był na zewnątrz widoczny. W stanie beznadziejnym Kobylańskiego odstawiono do szpitala.

Tragiczny wypadek lotniczy. Z Lidy donoszą: Wydarzył się tutaj tragiczny wypadek lotniczy. W czasie wykonywania lotu ćwiczebnego zginął sierżant-pilot Ćwikliński. Przyczyną bezpośrednią katastrofy była utrata szybkości przy starcie, spowodowana defektem silnika. W chwili uderzenia aparatu o ziemię nastąpił wybuch. Aparat stanął w płomieniach. Ze szczątków aparatu wydobyto zwłoki sierżanta-pilota Ćwiklińskiego. Towarzyszący mechanik plutonowy Dworniczak ocalał, gdyż wyrzucony z aparatu uległ jedynie częściowemu potłuczeniu i poparzeniu. Ćwikliński był pilotem od roku 1921 i należał do szeregu najstarszych i najbardziej doświadczonych pilotów.

Korespondencyjny kurs teatralny. Związek teatrów ludowych w Warszawie zorganizował 8 mio miesięczny kurs korespondencyjny dla kierowników i reżyserów teatrów ludowych. Kurs ten ze zrozumiałych przyczyn wzbudził u miłośników sceny wielkie zainteresowanie Program kursu obejmuje wszelkie przedmioty z zakresu teatrologji. Wykłady prowadzone przez wybitnych znawców literackich i artystycznych dają bogaty materjał teoretyczny i praktyczny i każdy, komu dobro sceny ludowej leży na sercu, a przedewszystkiem kierownicy i reżyserzy teatrów amatorskich powinni korzystać z wymienionego kursu. Opłata za wykłady wynosi miesięcznie 6 zł. Informacje i zapisy przyjmuje Związek teatrów ludowych Warszawa ul. Tamka 1.

Trup pod oknami cadyka. Ciekawy wypadek, który poruszył dzielnicę żydowską w Warszawie opisują dzienniki tamtejsze, W jednym z szpitali leżał niejaki Dawid Pekler, człowiek już w podeszłym wieku, którego przywieziono na leczenie z Kraśnika. Chorował długo i jak orzekli lekarze, stan był beznadziejny. W tych dniach dowiedziawszy się, że do Warszawy przyjechał cudotwórca-cadyk z Kołbieli, chory zażądał od czuwającego przy nim syna, aby go zawiózł do niego. „Niech on przyłoży do mojej głowy ręce, a będę zdrów" — mówił. Ale wyjazdowi sprzeciwili się lekarze, twierdząc, że chory nie przeżyje tej wycieczki. Rodzina jednak postawiła na swojem. Dawid Pekler został przeniesiony na noszach do wynajętej karetki sanitarnej, która pojechała na ulicę Pawią, gdzie chwilowo mieszkał rebe cudotwórca. I stało się nieszczęście. Podczas wyjmowania nosz z karetki dziadek umarł. Dowiedziawszy się o tem cadyk, zatarasował drzwi na wszystkie spusty, zawiadomiwszy rodzinę Peklerów, że trupa do swego domu nie wpuści, bo każdy nieboszczyk jest nieczysty, póki z nim nie zrobią „tahare". I mimo błagań rodziny, cadyk drzwi nie otworzył. Tymczasem dokoła karetki zebrały się tłumy. Krewniacy zupełnie stracili głowę. W szpitalu ich nie przyjmą, w prosektorjum nie da się uniknąć sekcji, wzbronionej surowo przez zakon. Więc czekali. Na co? Na zlitowanie, na cud, na niespodziewaną pomoc. Karetka ze zwłokami stała przed bramą od wieczora do świtu. Na ulicy Pawiej obywatele nie spali, bo wszak cała ulica była zanieczyszczona. W większości domów palono światła, starcy modlili się, młodsi grali w karty. Dopiero o świcie zajechała karetka, przeniesiono do niej nieboszczyka, spisano protokół i odwieziono zmarłego do prosektorjum, którego tak chciał uniknąć.

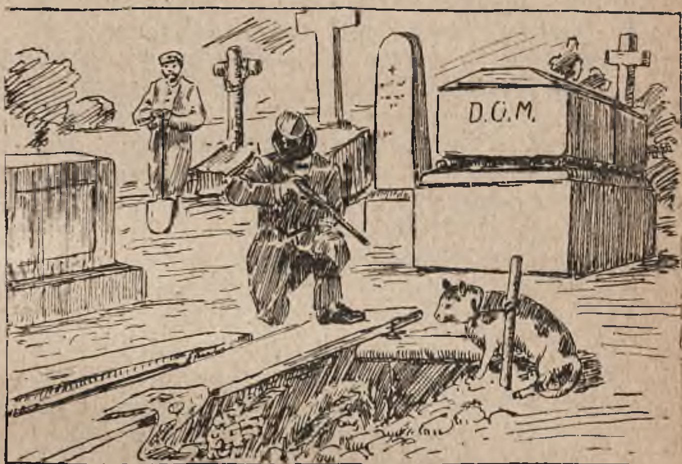
Pogrzeb wódki. W jednej z fabryk moskiewskich przeprowadzono energiczną propagandę antyalkoholową. Między innemi urządzono pogrzeb wódki. W kirem obitej sali położono na wspaniałym katafalku wielką, dwumetrowej długości butelkę z wódką. Po stosownem przemówieniu przystąpiono do pogrzebu.

— Wódka, to wróg proletarjatu — wołał agitator. — Niszczy zdrowie, zabiera zarobki. Precz z wódką, jest ona wymysłem burżuazji dla pogłębienia biednego ludu. Przysięgnijcie, że nie będziecie brać do rąk butelki z wódką!

— Przysięgamy!

Następnie w asyście popa, pastora i rabina zakopano butelkę w ziemi. Następnego dnia — nie uwierzycie, a jednak... Następnego dnia nie można było uruchomić fabryki, gdyż na stypie pogrzebowej cały personal upił się do nieprzytomności. Jakie to znamienne dla Rosjan!

Wierny kot. W pewnej miejscowości niemieckiej zdarzył się niezwykły, wprost nieprawdopodobny wypadek. Pewna wdowa, staruszka, miała ulubionego kota, który był bardzo do niej przywiązany i chodził za nią wszędzie jak pies, to znów, aby się nie zmęczył dłuższą drogą, nosiła go na rękach i pieściła.



Przed śmiercią wyraziła życzenie, by ulubiony kot był razem z nią pochowany. I stało się też zadość temu życzeniu. Podczas pogrzebu kot szedł za trumną, a gdy ją pochowano, siedzącego nad mogiłą kota zastrzelił jeden ze służby pogrzebowej, widocznie w tym celu najęty.

Człowiek, który chciał poślubić własną żonę. W Strassburgu niejaki Eryk Telzner zamordował i spalił dotychczas nieznanego człowieka, poczem rozgłosił, że sam padł ofiarą morderstwa, aby w ten sposób ułatwić swej żonie premję ubezpieczeniową. Plan ten, jak wykryło śledztwo, podała żona Telznera. Kto był zamordowanym, nie zdołano jeszcze stwierdzić, lecz przypuszczają, że nazywa on się Ranelli, gdyż pod tem nazwiskiem począł występować Telzner. Morderca chciał użyć papierów swej ofiary, aby po pewnym czasie ożenić się powtórnie z swoją żoną, rzekomą wdową, a potem wyjechać z nią za granicę i żyć z podjętej premji ubezpieczeniowej. Sztuczka jednak nie udała się, a obydwoje zbrodniarze poszli do kryminału.

Burza na morzu Północnem. Na morzu Północnem i na połuoniowo zachodniem wybrzeżu Francji szalały w ubiegłym tygodniu niezwykle silne burze. Nadbrzeżne stacje iskrowe odebrały wezwanie o pomoc od licznych okrętów, znajdujących się na morzu w niebezpieczeństwie. Między innemi znalazł się w niebezpieczeństwie parowiec niemiecki „Lilly Wörmann", który wyratewany został przez parowiec holenderski. W zatoce biskajskiej zatonął parowiec włoski. Z załogi parowca zdołano uratować jedynie 6 osób, reszta utonęła. Na wybrzeżu Gotlandji osiadł na skałach parowiec niemie-

cki „Aegir“. Z trzech marynarzy statku tego, którzy chcieli ratować się łodzią, jeden zatonął, a dwóch wyratowano. Statek jest stracony. W Dieppe olbrzymia fala porwała w morze dwóch ludzi, znajdujących się na wałach nadbrzeżnych. Obaj utonęli. Burze wyrządziły także liczne szkody wewnątrz kraju i pozrywały cały szereg połączeń telefonicznych i telegraficznych. Do portów francuskich zawinęły parowce transatlantyckie, mocno uszkodzone.

Uczenica włamywaczką. Przed kilkoma dniami znikła z Berlina 15 letnia uczenica jednej z tamtejszych szkół. Na żądanie rodziców policja wszczęła poszukiwania za zagubioną i przy tej sposobności okazało się, że owa uczenica była niebezpieczną włamywaczką, poszukiwaną przez władze policyjne bezskutecznie. Młodociana przestępczyni popełniła w ciągu kilku ostatnich tygodni 31 śmiałych włamań, szerząc postrach wśród mieszkańców. Mimo usiłowań policji nie udało się dotychczas niebezpiecznej dziewczyny wytropić i ująć.

Bunt w więzieniu. Z Nowego Jorku donoszą: W więzieniu rządowem w Auburn wybuchł bunt. Więźniowie opanowali całkowicie sytuację, zatrzymując dyrektora więzienia w charakterze zakładnika. Po czterogodzinnej zaciętej walce, w której wzięła udział policja, strażnicy i żołnierze uzbrojeni w karabiny maszynowe i bomby łzawiące, zakładnicy zostali uwolnieni, z nadejściem jednak nocy mała grupa więźniów zabarykadowała się w jednej z sal więziennych, opierając się atakowi. Trzech więźniów zostało zabitych, trzech zaś strażników odniosło rany, w tej liczbie jeden śmiertelne. Z nastaniem dnia zdobyto i ostatnią salę więzienną.

Bestjalskie rzezie w Chinach. Donoszą z Szanghaju: Dopiero teraz nadchodzą spóźnione wiadomości o wypadkach, jakie rozgrywały się w prowincjach centralnych Chin, Kwansu, w maju i sierpniu bieżącego roku. Doniesienia te mówią o strasznych, krwawych masakrach, które pociągnęły za sobą tysiąc ofiar w ludziach. W połowie maja mahometańscy mieszkańcy tej prowincji podnieśli bunt przeciwko gubernatorowi, opanowali miasto Tao Czau i wymordowali w jednym tylko dniu około 700 Chińczyków, poczem rozpoczęli krwawy marsz przez całą prowincję, znacząc swój ślad nowemi zbrodniami i zniszczeniem. Przybyły do Tao Czau silny oddział wojsk chińskich rozpoczął w lipcu odwet. Rzezie mahometan były na porządku dziennym. W okolicy Tao-Czau wyrżnięto 3.000 muzułman. Pod naciskiem wojsk chińskich mahometanie poczęli uciekać przez Hiatsang w stronę Tybetu. Na granicy nastąpiło starcie między kobietami muzułmańskiemi i tybetankami. W starciu tem — jak donoszą z Uknor — około 500 tybetanek padło pod nożami rozwścieczonych kobiet muzułmańskich. Mimo to zdołano uciekinierów odeprzeć do granic Tybetu, a ci myśląc, że w kraju nastąpił już spokój, powrócili do Tao Czau, które nadal znajdowało się w rękach wojsk chińskich. Rozpoczęła się nowa masakra. Żołnierze chińscy wymordowali wszystkich mężczyzn muzułmańskich w wieku od 15 do 50 lat pod bramami miasta. Na miejscu kaźni naliczono po zakończeniu egzekucji 2 996 trupów.

Misjonarze polscy w Chinach. W akcji misjonarzy katolickich w Chinach biorą również udział kapłani polscy. Jak wynika ze spisu misjonarzy, działa tam obecnie 15 Polaków. Są to księża świeccy: ks. Ejsmond, ks. Leszczewicz i ks. Zborowski; Bernardyni ks. Piotrowski, ks. Wilczyński i brat Banaś; Dominikanin brat Nowak; Salezjanie ks. Siara i ks. Wieczorek, oraz Werbiści ks. Białłas, ks. Dzabania, ks. Gołąbek i br. Kobylski. Pierwszym misjonarzem polskim na ziemi chińskiej był w 17-tem stuleciu ks. Rudomina Jezuita.

Pożar okrętów. Z Fidżi donoszą, że na stojącym w porcie Appia, na wyspie Samoa, jachcie Carneggiego nastąpił olbrzymiej siły wybuch, który spowodował pożar statku. Siłą wybuchu pięć innych statków, stających na kotwicy w pobliżu jachtu, rzuconych zostało na pobliską plażę. Z płonącego jachtu zdołano uratować kilku marynarzy i kapitana statku, których przewieziono natychmiast do szpitala w stanie groźnym. Ogień z jachtu przerzucił się szybko na pozostałe pięć statków, które częściowo zniszczył. Jacht Carneggiego zbudowany został przez instytut Carneggiego i przeznaczony był dla celów naukowych.

Runięcie mostu z pielgrzymką. Na rzece Madjalence na wyspie Jawie runął z wysokości 38 metrów most żelazny w chwili, gdy znajdowało się na nim 200 pielgrzymów. Wszyscy wpadli do rzeki, która o tej porze jest prawie wysuszona. 4 osoby poniosły śmierć, 75 osób wyszło z katastrofy z ciężkiemi i lżejszemi ranami.

Stracenie słonia. Z Kanady w Ameryce donoszą: Black Diamond („Czarny djament“), olbrzymi słoń cyrkowy, który zabił kobietę i poranił swojego dozorcę, zapłacił życiem za swoją zbrodnię. Hans Nagel dozorca ogrodu zoologicznego w Houston, spełnił obowiązek kata. Słonia przywiązano do drzewa, poczem Nagel zbliżył się i zaczął strzelać z wielkiego kalibru strzelby. Kiedy 60 ta kula utkwiła w mózgu zwierzęcia, nogi załamały się pod słoniem i wielkie cielsko zwaliło się na ziemię. Nagel, z twarzą pobladłą, uciekł z miejsca egzekucji.

Miljonowa armja ślepych. Amerykanin Louis H. Curris, dyrektor amerykańskiego towarzystwa walki z chorobami ocznemi, doprowadził swojemi staraniami o międzynarodowe rozszerzenie opieki nad ślepymi do zwołania kongresu ślepców w Amsterdamie. Kongres ten odbył się w tych dniach. Jak dowodził Curris na kongresie, w Stanach Zjednoczonych znajduje się 100.000 ślepców, a gdyby urządzono defiladę ślepców w Chinach, trwałaby ona pełne dwa miesiące. Curris dostarcza materjału i środków leczniczych do zwalczania zapalenia oczu u noworodków. Zapalenie to jest jedno z najbardziej niebezpiecznych zarodków choroby oczu, a zarazem jest najłatwiej uleczalne. Kongres w Amsterdamie i stojąca z nim w związku konferencja w Scheveningen, miały na celu rozpoczęcie międzynarodowej pracy w kierunku zwalczania chorób ocznych. Na podstawie statystyk ślepców, żyjących w poszczególnych krajach, obliczono, że jest ich ogółem na świecie 1,139.734 na 876 miljonów ludzi, żyjących na świecie. Na 100 000 mieszkańców przypada więc 136,3 ślepych. Ponieważ jednak należy przypuszczać, że w krajach niecywilizowanych i nieobjętych statystykami, liczba ślepych jest jeszcze większa, a kraje te obejmują prawie połowę ludności ziemi, obliczają, że w całym świecie znajduie się około 2 i pół miljona ślepców.

Więzienie na sprzedaż. Władze miejskie małego miasteczka amerykańskiego Mount Bayon w stanie Missisippi w Ameryce ogłosiły ostatnio, że tamtejsze więzienie wystawione zostało na sprzedaż, ponieważ od szeregu lat stoi pustką wobec zupełnego braku lokatorów. Podkreślić nawiasem wypada, że ludność owego szczęśliwego miasteczka składa się wyłącznie z murzynów. I u nas podobne zachodzą wypadki. Tak n. p. w pobliskim Trzemesznie dawne więzienie zamieniono na niezbyt wygodne mieszkania dla biednych ludzi. Tylko, że w Trzemesznie przestępców, którzyby mogli być lokatorami więzienia, nie brak. Jakby to dobrze było, gdyby można było posprzedawać wszystkie więzienia.

RZECZY CIEKAWE.

Śmiech i charakter.

Badacze natury ludzkiej twierdzą, że po śmiechu można poznać charakter danego człowieka. I tak: ludzie, którzy śmieją się długo i serdecznie, których śmiech wyraża się nazewnątrz w całej postaci, oczach i ruchach są naogół bardzo sympatyczni. Bywają oni uczynni i litościwi.

Ludzie, którzy śmieją się śmiechem zduszonym w sobie, a których zadowolenie można dostrzec tylko dzięki wstrząsaniu ramionami, mają naturę dobrą i są zazwyczaj troskliwymi rodzicami.

Ludzie, u których śmiech zamiera gdzieś w gardle, a nazewnątrz nie wyraża się na twarzy żadnym odruchem, mają charakter podejrzliwy, są chytrzy, bez sumienia. Twarde, złe charaktery śmieją się, nie śmiejąc.

Kto jest skłonny do głośnych wybuchów śmiechu, ustających momentalnie, temu nie należy wierzyć. Taki udaje tylko usłużność i otwartość, w rzeczywistości jest to charakterem nadzwyczaj skrytym.

Są ludzie, którzy śmieją się bardzo krótko i wstrzemięźliwie, jakby lękali się czegoś. Ludzie ci obdarzeni są zwykle wielkiemi zaletami ducha, ale podlegają każdemu wpływowi.

Największe i najpotężniejsze duchy śmieją się bardzo rzadko. Ale jeżeli śmieją się, to ich oczy, wargi, twarz są wtedy jakby zwierciadłem, na którem odbija się radość.

Czy tak jest, mogą to sprawdzić nasi Czytelnicy na sobie i na swych znajomych.

Ból głowy.

Kogóż z nas nigdy głowa nie bolała? Cierpimy na bóle głowy, a przeważnie nie wiemy, z czego one pochodzą. Otóż lekarze dzielą ból głowy na cztery klasy: ból głowy jako symptom, ból głowy powtarzający się mniej więcej regularnie, neuralgja i migrena.

Do zaburzeń wewnętrznych, co do których ból głowy jest symptomem, zaliczają następujące: zaraźliwe choroby, którym towarzyszy gorączka, zatrucie, jak n. p. alkoholem (upicie się), choroba niemal każdego z żywotnych organów i wrzód lub narośl na mózgu. Te dwa rodzaje są najsilniejszymi bólami, znanymi w praktyce lekarskiej.

Chroniczny, czyli powtarzający się ból głowy, zdaje się zależeć do pewnego stopnia od usposobienia a względnie skłonności organicznych, dzięki którym dana osoba nadmiernie skłonna jest do bólu głowy. W wielu wypadkach osoby, objawiające tego rodzaju skłonności, muszą pamiętać o tem, że wytrzymałość ich jest mniejsza, aniżeli innych osób i dlatego powinny one wprowadzić pewne ograniczenia i zmiany w sposobach i nałogach ich życia. Tego rodzaju bóle głowy mogą mieć swe źródło w uczuciowych zaburzeniach, lub nawet w czysto psychicznych zawikłaniach, zachodzących w stanie podświadomym.

Migrena jest znanym typem bólu głowy, mającym dużo wspólnego z tak zwanym chronicznym, czyli stale powtarzającym się bólem głowy. Ból ten powtarza się mniej więcej regularnie, obejmuje jedną stronę głowy i w wielu wypadkach występuje inny jeszcze objaw, a mianowicie krótkotrwałe zaburzenie wzrokowe. Choroba ta jest odrębna i inna od reszty i jest rezultatem nerwowego zaburzenia o nieznanej przyczynie i naturze i panuje przeważnie u kobiet.

Neuralgja nie jest bólem głowy we właściwem słowa znaczeniu, ale bólem nerwu. Ból ten różni się od zwyczajnego bólu głowy tem, że bywa różnie rozmieszczony. Wywołać go mogą: wyrastające zęby mądrości, choroby żył nosowych i zaburzenia w łącznikach między czaszką a górną częścią mózgu.

Szkodliwe czytanie.

Wiele osób, skutkiem nieumiejętnego czytania, traci wcześnie, lub osłabia sobie wzrok i musi używać szkieł. Przy czytaniu należy pamiętać o następujących zasadach:

Szkodliwe jest czytanie ciągłe, gdy człowiek nie daje oczom wypoczynku, czytanie w pozycji leżącej, dalej częste czytanie drobnego druku, przedewszystkiem zaś czytanie o zmierzchu, lub przy złem oświetleniu; nie dobrze jest również czytać przy jedzeniu.

Chorzy mogą czytać tylko za pozwoleniem lekarza i to rzeczy lekkie, wesołe, nie denerwujące i nie wymagające wielkiego wysiłku myślowego. Osoby czytające chorym, powinny rzecz czytaną dobrze rozumieć, czytać wyraźnie z należytym akcentowaniem, niezbyt głośno, aby chorego nie znudzić lub nie zdenerwować.

NOWE WYDAWNICTWA.

Ks. Józef Kłos: „Na drugiej półkuli". Stron 719, 80 ilustracyj. Cena zł. 15.—. Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin. O Ameryce Północnej wiele pisano, ale mało która książka z podróży po Stanach Zjednoczonych jest tak zajmująca, tak dostępna dla wszystkich umysłów, jak „Na drugiej półkuli".

Autor jako kapłan brał udział w zjeździe eucharystycznym, który się odbył w Chicago, i z tego względu stosunkom religijnym udzielił sporo miejsca. Ale na ich nakreśleniu bynajmniej nie poprzestał. Właśnie sprawy religijne dały mu szeroką podstawę do zobrazowania polskości, jej walk z nacjonalizmem amerykańskim, jej trosk i smutków. „Na drugiej półkuli" nie są wrażeniami jak tyle innych książek podróżnych, lecz dziełem kapłana-patrjoty, wołającego do braci zza oceanu o zachowanie uczuć narodowych, a przytem mocno i bez osłonek dyplomatycznych domagającego się równouprawnienia ich w dziedzinie kościelnej. Poznał również urządzenia amerykańskie — polityczne i gospodarcze, naturę nawet (Niagarę). Opisy jego są wzorem stylu, tak iż słusznie niejeden nauczyciel już je odczytywał uczniom z katedry wychowawczej. Czytelnikom najpoczytniejszego tygodnika w Polsce sprawił ogromną przyjemność, pisząc w sposób niesłychanie miły, wesoły, barwny i mądry. Lubią go czytać wszystkie sfery, gdyż nigdy nie znuży, nie zdenerwuje nikogo modną dziś migawkowością pióra. Bez kwestji ma talent pisarski, naracyjny zwłaszcza i książkę utalentowanego autora tembardziej i tem goręcej polecić się godzi miłośnikom zdrowej literatury podróżniczej i narodowej.

Jerzy Bandrowski: „Wieś mojej matki". Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin. R. 1929. Cena zł. 5.—. Najmilszym bodaj rodzajem prozy powieściowej są wspomnienia osobiste i rodzinne artysty-pisarza. Czytając je, uczestniczymy niejako w radościach i smutkach autora, ulegamy mimowolnie wrażeniom, które on niegdyś odczuwał, i coraz bardziej, coraz serdeczniej zbliżamy się do koła jego rodziny, wzruszeni jego miłością do najbliższych. Jerzy Bandrowski odmalował „Wieś mojej matki" barwy niekłamanemi, bez patosu sztucznego, bez górnej stylizacji, w której figury stają się widmami żywych postaci. Pokazał wieś matczyną taką jaką była przed laty 40 i gospodarzy jej — z kilku pokoleń takimi, jakich już nie znaleźć na wsi nowoczesnej. Miłość ku matce owiał mimo męskości pióra i wstrętu do pozy uczuciem głębokiem, które i na czytelniku, obcym mu węzłami pokrewieństwa, zostawia w sercu ślad niezatarty. Całość pod względem obyczajowym jest ciekawa; pod względem zaś artystycznym niejeden obraz jest niezrównany.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs otrzymaliśmy do chwili oddania niniejszego numeru na maszynę następujące prace: „Helusia", „To dla Ojczyzny", „Kuba-tchórz", „Jak my sobie cenimy wolność Ojczyzny?", „Jaśku będę twoją", „Dziecko ulicy", „Poświęcenie", „Moda", Gwiazdka Antosia", „W jaskini zbójców", „Przejął go jego ostatni głos", „Sprawiedliwie", „Przy orce", Fata-morgana", „Słonecko zasło", „Przyszedł", „Syn Ojczyzny", „Nauczył się kraść", „Choinka Jagusi", „Szwab i Rusin", „Antoś i szczęście", „Bez tytułu", „Prasa". Oczywiście o wartości wszystkich tych utworów dziś jeszcze nic powiedzieć nie możemy, choćby z tego względu, żeśmy ich jeszcze nie czytali. Dopiero po świętach tak te utwory, jak i te, które jeszcze do świąt nadejść mogą, przeczytamy, osądzimy bezstronnie i każdego z nich ocenę w „Roli" podamy. Przy utworach przeznaczonych do druku wymienimy nazwisko autora. Nazwisk autorów utworów nienadających się do druku wymieniać nie będziemy. Utwory przeznaczone do druku będziemy drukowali kolejno w przyszłym roku. — **Jan Pelczar** w W. S.: Obydwa utwory dobre. W jednym będziemy musieli zmienić czas akcji, gdyż do świątecznego już się nie zmieści. Łączymy pozdrowienia. — **M. Brzoski** w K.: Owszem, jeżeli rzeczywiście ładne wierszyki, to prosimy. A czy są one własnego układu, czy tylko przepisane? Za tak cenne poparcie serdecznie dziękujemy. — **Jan Zięć** w P.: Zagadki dobre, ale szarada nie udała się. Słowo użyte do szarady trzeba podzielić na zgłoski np. pa-lacz. Z słowa tego będą więc dwie zgłoski, a nie trzy, jak to Pan w swej szaradzie zaznacza. Pomysł był dobry, tylko wykonanie utknęło. — **Albin** w K.: „Pierwszy śnieg" jest to rzecz nawet bardzo ładnie opisana. Jako epizod jakiegoś dłuższego opowiadania, byłaby nawet bardzo dobra, ale sama dla siebie jest bez większej wartości. — **Alfons Czader** w S. W.: Owszem, jak wszystkie Pańskie utwory, tak i przestawianki, są zupełnie dobre i przeznaczyliśmy je do druku. Wśród wielu jednak swych towarzyszek czekają na swą kolej. Serdecznie pozdrawiamy i dziękujemy. — **Aniela Z.** w N.: Tak to, tak, Kochana Pani! Złośliwi ludzie powiadają, że miłość dwojga ludzi kończy się w dniu ich ślubu. Nie zawsze tak bywa, ale bywa i to bardzo często. Przed ślubem on anioł, ona anielica, po ślubie on djabeł, ona djablica. A może też i Pani coś w tem winy? Bo jak nam wiadomo, żona, gdy tylko chce, to musi męża przy sobie utrzymać. Ma ona na to tyle sposobów, że gdy tylko chce, to potrafi, a jak nie chce, to już jej wina. Niechże więc rozważy Pani to dobrze, a może przyzna Pani, że nie ten „szubrawiec" ponosi winę, ale sama Kochana Pani?! — **Andrzej Chraniuk** w D.: Cieszy nas, że wśród młodzieży w Lubelszczyźnie „Rola" ma takie powodzenie. Że starsi są analfabetami, dziwić się temu nie można, bo Moskaluszki robili wszystko, aby włościanin polski był jak najciemniejszy. Staramy się pisać tak, aby „Rolę" mógł każdy czytać. — **Franciszek Surówka** w K.: Przesyłkę otrzymaliśmy; dziękujemy. — **Bronisław Słomka** w J.: Jeżeli ktoś nadeśle utwór do druku, zaraz w jednym z najbliższych numerów odpowiadamy. Jeśli Pan takiej odpowiedzi nie otrzymał, widocznie list nie nadszedł. Zresztą przepatrzymy jeszcze teczkę. Na odpowiedzi listowe w sprawie artykułów nie mamy czasu. — **Franciszek Olbrycht** w K.: Humoreska ta jest zbyt znana. — **Kazimierz Kubik** w G.: Odpowiemy obszerniej w następnym numerze, gdyż nie zdążyliśmy jeszcze artykułów przeczytać. — **Piotr Wenc** w Ś.: Nagroda minęła się w drodze. Administracja wstrzymywała wysyłkę, spodziewając się, że Pan zamówi i kalendarz, a wtedy razem wysłałaby posyłkę, jako poleconą. Administracja chciała tak postąpić, pamiętając o dwóch przepadłych już książkach. — **Władysław Mirek** w N.: 5 egzemplarzy Panu jak również p. Aleksandrowiczowej posłaliśmy. Za przysługę dla „Roli" bardzo dziękujemy. — **Piotr Janicki** w B.: Na pierwszy raz posłaliśmy do Kółka rolniczego tylko 5 egz. z afiszykiem. Gdy wszystkie będą sprzedane prosimy napisać a przesyłkę zaraz zwiększymy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

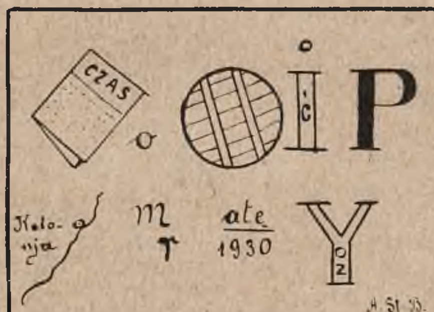
(Ułożył J. Maniewski z D.).

☆ ■ ☆ ■ Wspak wielki budynek.
☆ ■ ☆ ■ Lina.
☆ ■ ☆ ■ Dowódca turecki.
☆ ■ ☆ ■ Zwierzę juczne.
☆ ■ ☆ ■ Niemłody.
☆ ■ ☆ ■ Mędrzec grecki
☆ ■ ☆ ■ Miejscowość.
☆ ■ ☆ ■ Sędzia najwyższy.
☆ ■ ☆ ■ Służę po łacinie.
☆ ■ ☆ ■ Duch.
☆ ■ ☆ ■ Rzeka w Polsce.
☆ ■ ☆ ■ Kraj ubrania po wiejsku.
☆ ■ ☆ ■ Po łacinie: w ściśle oznaczonym celu.
☆ ■ ☆ ■ Słowo przy szachach.

Litery wstawiane w miejsce kwadracików w drugim rzędzie z góry na dół, a w czwartym z dołu do góry dadzą dwa przysłowia.

2. Rebus.

(Ułożył A. St. B.).



3. Figiel szarada.

(Ułożył Stefan Jaworski z P.).

Niech pierwszy drugi trzeci sam piąte szó-
[ste ósme,
Bo mnie oblaty piąte trzecie jasne,
Najpierw dziewiąty pierwszy, rzecz to nie
[nowa,
Coś jakby motyla mieszkanie, czy nora.
Dalej dziewiąte trzecie, a nie katy,
Do tego dwunaste trzecie, a nie koty.

Jest pierwsza dziesiąta, a w niej bez koń-
[ca dziewiąte czwarte,
Co sami przyznacie, że to jest coś warte.
Drugi pijaków był duży, więc to bez koń-
[ca dziewiąte czwarte.
Wnet piąte dziewiąte, wspak drugie tyl-
[ko połowa i szóste,
Młodsza brać ósme siódme bez końca,
[albo siódme ósme,
Piąte szóste trzecie dwunaste nic ich nie
[obchodzi,
Bo to dwunasta druga bez końca tych lu-
[dzi, co ich to brzydzi.
Cieszą się wszyscy, bo całość niema już
[dziewiąte jedenaste dwunaste,
A jak mówią, piąte czwarte go zdobył szó-
[ste szóste...?

4. Przestawianki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Osieł weteran radzi mi jeść.

II.

Jan Koza robi sobie papier.

III.

Gość Mietek nie chce zejść z sadu Marka.

Z powyższych zdań ułożyć znane przysłowia.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 28 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 49 „Roli": 1. Przesuwanka: Jak bez słońca nikną farby, tak bez cnoty giną skarby. 2. Szarady: I. Jesień. II. Okopy. III. Bez pracy niema kołaczy. 3. Łamigłówki: Kawa-ława. Mól-sól.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Wirstnik Gabrjel z Szcz., J. Wójtowicz z Z., Zbigniew Pelc z L., Jerzy Sass z K., Marjan Wietrzny z L., Stanisław Pawełek z B., Paweł Norek z G., Franciszek Niedbała z R., Alfons Czader z S. W., Franciszek Klimeczko z W., (Nr. 99), Franciszek Klimeczko w W. (Nr. 131), Jan Gara z W., Stefan Jaworski z P., St. Bobrowicz z K., Andrzej Kryśków z K., Józef Staniek z Z., Piotr Wenc z Ś., Józef Kopacz z S.

Nagrody wylosowali pp.: Paweł Norek z G. i Franciszek Klimeczko z W. (Nr. 131).

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 14 grudnia b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·01 do 1·60 zł.	Jałownik	od 0·80 do 1·70 zł.
Woły . .	od 1·14 do 1·82 zł.	Cielęta .	od 1·75 do 2·67 zł.
Krowy .	od 0·81 do 1·56 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł
Nierogaciznę	2·50 do 2·68 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·05 do 3.50

Giełda płodów rolniczych

z dnia 13 grudnia b. r.

Pszenica .	38·00—38 50	Słoma długa	8·50— 9·50
Żyto .	25 00—26·00	Ziemniaki stoł.	6·00—7 00
Owies . .	21·00—21·50	Koniczyna na-sienn. czer.	150·00—170·00
Jęczmień	22·00—23·00		
Fasola biała	100·00—105·00	Mąka żytnia	42·50—43 50
Groch zwyk.	48·00—50·00	Mąka pszen.	73·50—74·50
Siano słodk.	10·50—11·50	Otręby pszen.	16·50—17·00
Łubin żółty	28·00—29 00	Otręby żytnie	16·00—00·00
Koniczpastew.	13·00—14·00	Mąka czerw.	19·00—20·00